AS



Nr. 52
27. GRUDNIA
1936 ROKU.
CENA 40 GR.

Gdy Hejnał zabrzmi w noc wigilijną...

Fot. F. Nowicki — Kraków.

JEMIOŁA — SYMBOL SZCZĘŚCIA

Dziwny widok przedstawiają południowe porty angielskie zimą, w ostatnich, przedświątecznych tygodniach. Oto i szlakiem wodnym ciągnie do nich cały korowód statków i małych żaglowców, wyładowanych po pokład zielenią. To transporty przesyłane z lasów Bretanji; jemioła, bez której Anglik nie rozumie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. W angielskim domu może braknąć przy wigilijnej uczcie tradycyjnej jodełki, ale nie gałązki jemioły, zawieszonej pod sufitem, albo nad progiem. Jemioła uważana jest za posłańca szczęścia. Nawet w najwięcej purytańskim domu wolno wtedy młodą kobietę pocałować mężczyźnie, gdy ta znajdzie się pod jemiołą! Przesyłając podarek noworoczny Anglik nie zapomina dołączyć gałązki jemioły!



Także Francuzi i Niemcy w swe tradycyjne zwyczaje włączyli jemiołę. Z zachodu zwyczaj ten powoli przesiąka i do nas, to też z końcem grudnia, za szybami kwieciarń wszystkich miast jawi się wśród barwnych, cieplarnianych kwiatów niepozorny, złotozielony krzaczek jemioły, strojny w białe jagody.

Daleko wstecz trzebaby sięgnąć, by dotrzeć do źródeł kultu jemioły, do legend północnych, do sag celtyckich i irlandzkich. Najstarsza z legend północnych przedstawia porę owocowania jemioły w symbolicznej, a pięknej historji bogów. Oto bogini Frigga ongiś odebrała od wszystkich tworów przyrody przysięgę, że nie zranią jej syna, słonecznego Baldura. Przeoczyła jednak jemiołę, która w formie strzały, w ręku ślepego Hodura — kierowana przez złego Logi — staje się przyczyną śmierci syna. Jednakże miłość matki zwycięża złe siły, gdyż za dotknięciem zwłok gałązią jemioły — rodzi się znowu nowy, pełen blasku Baldur, szczęśliwie rządzący światem. Mit ten jest bardzo przejrzysty. W legendzie o Baldurze łatwo rozeznać obraz ziemskiego roku, w którym słoneczny Baldur przedstawia symbol wiosny, a Hodur alegorję mroźnej zimy, zabijającej naturę. Jemioła stoi na pograniczu tych dwóch epok, bo owocuje z końcem roku. Stąd jasnem jest, dlaczego stała się symbolem świąt zimowych, więc święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku, święta odrodzenia się słońca.

Nadziemską moc przypisywali także Rzymianie jemiole, wszak Wergiljusz w swej epopei bohaterskiej mówi, że Eneasz otwiera wrota podziemi złotą rutą — jemioły. Również Gallowie otaczali ją kultem, zaś Druidowie odcinali w pierwszych dniach nowego roku złotym nożem gałęzie jemioły, którą po modłach rozdawali ludziom, na pomyślność całego roku.

Nie ulega wątpliwości, że ta dziwna roślina musiała zainteresować pierwotnego mieszkańca puszczy. Nie mogło zatem ujść jego uwagi, iż w puszczy — gdzieś wysoko, w gałęziach, bez wody i ziemi rozkwita krzaczek, pełen złoto-zielonych liści. Spostrzegł on, iż ta roślina inaczej żyje, jak reszta, że jest pasorzytem i wywnioskował, że nasienie jemioły musiało spaść z nieba — zatem jemioła jest bóstwem!

Ze zmierzchem pogaństwa zaginął kult jemioły; pozostała jej jednak właściwość przypisywana ongiś — przynoszenia pomyślności. Jemioła różni się od wszystkich roślin ziemi. Ona jedna rozkwita późną jesienią, kiedy ostatnie owady mogą zapylić jej kwiaty, a owocuje z końcem grudnia. Białe, o lepkiem mięsie owoce jemioły służą w zimie za pokarm jemiołuszkom, drozdom i innym ptakom. One to przenoszą niestrawione nasionka na wysoko położone gałęzie, gdzie rozwija się i powoli rośnie młoda roślinka.

Krzaczek jemioły żyje około 40 lat, poczem ginie. — Zarzuca się jemiole, iż niszczy drzewo, które jako podziurawione staje się niezdatne na deski. Ale przecież jemioła sadowi się przeważnie na gałęziach! Jedynie, gdy zbyt się rozmnoży na owocowych drzewach hamuje rozwój kwiatu. Wynagradza jednak te straty własnościami leczniczemi, bo jemioła w ostatnich czasach z medycyny ludowej przeszła do oficjalnej, jako dość ważny składnik lekarstw.

Jakże pięknie wyglądają jej zielone bukiety w lasach, kiedy tylko ona jedna szepce o utajonem życiu przyrody! Z. K.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 52 **Niedziela 27 grudnia 1936** **Rok II**

GWIAZDKI NUMERU ŚWIĄTECZNEGO:



WIELKA TAJEMNICA



Wystawy magazynów z zabawkami przyciągają w okresie przedświątecznym tłumy ciekawych... (Oxford-Street w Londynie).



W noc wigilijną śpi się najlepiej z podarunkami, które przyniósł grzecznemu dziecku aniołek na gwiazdkę...

Nie wiem, czy i Wam przyszło kiedy na myśl, że za naszych lat dziecinnych zimy były bardziej mroźne i śnieżne, a lata cieplejsze i bardziej słoneczne? Klimat nie uległ prawdopodobnie zmianom — tylko my...

Dziś jednak wydaje mi się, że w ów czas legendarny, w grudniu było zawsze śnieżno i mroźno. Mieszkaliśmy na Podhalu, w małej wiosce, malowniczo rozrzuconej w dolinie górskiej rzeki. Krajobraz ten widzę we wspomnieniach, jakby pełen romantycznej ekspresji zimowy pejzaż, malowany ręką marzyciela-artysty. Zapewne na całem Podhalu dziś niema już takiego pejzażu: Należał on do tamtego, dalekiego świata i do rzeczy, które dawno odeszły.

Wszystko to wiąże się z historją „wielkiej tajemnicy", z pełnym czaru epizodem „drzwi zamkniętych".

Nieraz drobny szczegół przywodzi na pamięć bajkę dzieciństwa. Czasem, gdy w zimie bawię na wsi i chłopak rano rozpala ogień w piecu, a suche szczapy sosnowe zaczną strzelać i czerwony blask obleje pochyloną twarz służącego, wówczas wydaje mi się, że dawno zamknięte drzwi od mojego dziecinnego pokoju nagle się uchyliły. Wtenczas przecież ogień palił się zawsze czerwono — drzewo strzelało w piecu każdego ranka — za oknami bieliły się pola, a w parku stały smukłe świerki w pysznej okiści.

Podobnie, gdy wypadnie mi wyiskrzoną nocą przejeżdżać sankami przez uśpioną wieś, w monotonnej melodji dzwonków odzywa się chwilami echo tamtych czasów.

Okres „wielkiej tajemnicy" inaugurowały nic nie znaczące i błahe napozór czynności. Oto jednego dnia z pokoju — który przylegał bezpośrednio do gabinetu ojca wyniesiono etażerkę z kwiatami. Niby nic, lecz zarówno ja, jak mój młodszy brat, dosko-

Dokończenie na str. 7-mej

Poniżej: Nie jeden z nas, będąc jeszcze dzieckiem, pragnął zastać pod choinką minjaturową kolej żelazną — marzenie wszystkich inteligentnych chłopców..
Fot. Scherl — Berlin.





„Wielka Tajemnica" wieczoru wigilijnego...

MARTA EGGERTH-KIEPUROWA.

MIECZYSŁAW TURSKI



KAGAMI

zwierciadło duszy wschodniej pani

OGI-KOTO ✦

Od prawieków pokrywa biały, śnieżny całun stożek Fusijamy, od prawieków wartkim nurtem toczy swe wody Jang-ce-Kiang, od prawieków rozkwita cudowny kwiat lotosu, symbol boskiego Buddy.

Od długiego cyklu stuleci niezmieniona pozostaje również psyche kobiety Dalekiego Wschodu. Córy żyznego Sjamu zamieszkujące palowe domki Bang-Koku, zwanego „Wenecją Wschodu", pracowite Malajki, dźwigające na swych obnażonych plecach stosy trzciny cukrowej, namiętne Annamitki, słynne z posiadania skóry delikatnej jak aksamit, rozszalałe tancerki z pagod Allahabadu, Chinki czy Koreanki, wszystkie one stały się jak to określa ich siostrzyca z krainy kwitnącej wiśni, niewolnicami „Kagami" — zwierciadła, „Ogi" — wachlarza i „Koto" — antycznego instrumentu muzycznego.

Pojęcie „Kagami" oznacza nietylko lustro, lecz w symbolistyce wschodniej jest wyobrażeniem czystości duchowej i cielesnej oraz nieposzlakowanego charakteru.

Legenda chińska przypruszona patyną wieków głosi, iż pierwsza z przedstawicielek płci nadobnej, stworzona przez Najwyższego na tym padole płaczu, przejrzawszy się w falach rzeki Huang-ho, załamujących obraz jej oblicza, wybuchła płaczem na widok szpetnego odbicia swej postaci.

Długo z jej oczu padały łzy nakształt kropli rosy, perląc się na liściach tulipanów. Aż zadął z mocą wielką Bóg Północnego Wiatru i mroźnym oddechem ściął przejrzyste łzy w gładką lustrzaną taflę, w której niczem w kryształowem zwierciedle dojrzała wiernie rysy swej twarzy.

— Dzięki Ci Władco bogów i ludzi — zawołała, chyląc czoło ku ziemi. — Jestem piękną!

Wówczas w płomieniu gorejącego krzewu pojawiła się bogini Kuannon.

— Próżność kobiecą i dumę zarozumiałości odpokutujesz srodze, stając się kukłą w ręku swego małżonka! — zawyrokowała wysłanka niebios.

Lecz Duch Czerwonej Wieży, opiekun kultury i cywilizacji zdołał uprosić bóstwo o łagodniejszą karę, wyrażającą się w czołobitnem hołdowaniu płci pięknej symbolom doczesnej wytworności.

Od tej chwili wszystkie rasowe mieszkanki Wschodu, wiodące swój ród z pierwiastka żeńskiego Gen, powstałego z elementów ciemności, chłodu i śmierci, a więc wszystkich ujemnych właściwości bytu, podlegają absolutnej władzy zwierciadła.

Skośnooka japońska „okusan", podniósłszy się z szerokich mat, zw. „tatami", na dzień dobry przegląda się w ozdobnem podręcznem zwierciedle, o długiej rękojeści z kości słoniowej, zanim zwyczajem wszystkich cór krainy Wschodzącego Słońca, uda się do kąpieli z wrzącej wody. Skoro po porannych ablucjach powierzy swe ciało niewidomemu masażyście, najbardziej odpowiedniemu do tegoż zawodu, bowiem posiadającemu nadzwyczajnie rozwinięty zmysł dotyku, cały czas podczas zabiegów kosmetycznych spogląda w lustro.

Nie zawsze jest ono sporządzone z tafli szklanej. Częstemi w użyciu są zwierciadła, wykonane z wypolerowanej powierzchni szlachetnych metali.

Takie właśnie zwierciadło miała ongiś posiadać bogdanka jednego z Szogunów, a Demoni z wyspy Onigaszima, nadali metalowi tajemniczą moc zachodzenia mgłą, ilekroć pragnął ujrzeć odbicie swego oblicza człowiek fałszywy. Wśród flakonów i kloszy „kikuno hana", kwiatów chryzantem, stoją lustra różnych typów i rozmiarów, zdobiąc zarówno mieszkanie kobiety dawnych zasad, staroświeckiej „kifudzin", jak też na europejskich wzorach wychowanej emancypującej się „mona".

Podobnie mieszkanka górzystych okolic Tybetu, ojczyzny Dalaj Lamy, prowadząca koczownicze życie, chowa skrycie w zanadrzu kawał grubo szlifowanego szkła, oddającego jej identyczną przysługę, co misternie rzeźbione, srebrem inkrustowane „kagami" panny Bambus, czy panny Źródło, egzotycznej Fonsan.

W ich ślady podąża również Chinka, która przebywając najczęściej na odludnej wsi, często miast w lustrze, przegląda się w zbiorniku źródlanej wody, spędzając przy nim niejednokrotnie długie godziny. Dlaczego to czyni, nie potrafi odpowiedzieć. Poprostu natura gna ją podświadomie do ustawicznego podziwiania karnacji swych lic, aczkolwiek nie można genezy tegoż zachowania się szukać jedynie w próżności i kokieterji.

Zwierciadło stanowi najwiarogodniejszego doradcę o każdej porze dnia. A urocza córa Dalekiego Wschodu zmienia swe wzorzyste kimono nietylko zależnie od pory roku czy rodzaju pogody, lecz również stosownie do uroczystości religijnych i rodzinnych, przypadających na dany dzień, a nawet ściśle określonej godziny. Byłoby wysoce niewłaściwem nosić n. p. w dniu święta lampjonów, szaty w deseń z bocianów i naodwrót. Podobnie pod zimę wdziewa każda „musme" grube z mięsistego materjału „fuynfuku". Lustro również potwierdza piękno długiego, bogato haftowanego pasa materji „kawaoli", służącego do przewiązywania „kimona" nieco powyżej stanu.

„Miecz samurajów stanowi duszę mężczyzny, a zwierciadło duszę kobiety" mówi japońskie przysłowie.

I z tej właśnie „duszy" czerpią Japonki tradycje narodowe i niezłomne zasady wychowania, widząc w zwierciadle nietylko swe własne odbicie, lecz również szeregi swych antenatów pełnych bohaterskiego poświęcenia dla dobra ojczyzny. Wachlarz natomiast, to nietylko mały przybór galanteryjny, mający na celu chłodzenie twarzy w skwarne dni lata, lecz przedewszystkiem symbol wytworności gestu i gracji towarzyskiego obycia. Używany przez osoby obojga płci, zarówno na północnych wyspach archipelagu: na Hokkaido, Kunasini czy Riszledżima, gdzie zima panuje przez siedem miesięcy, jak i na Szikoku czy Kiusziu, które dzięki korzystnemu klimatowi podzwrotnikowemu i obfitym opadom, posiadają bujną szatę roślinną, chroniącą od upałów i spiekoty.

Już w „Buszido" czyli w „drogach rycerzy" systemie pojęć etycznych i dobrego wychowania, obowiązujących antyczną szlachtę japońską, między wierszami można się dorozumieć szeregu okoliczności, mających na celu praktyczne zastosowanie wachlarza.

Zręcznie użyty, osłania oblicze przed oczyma bliźnich, którzy w danej chwili mogliby odczytać z twarzy myśli czy uczucia. Rozłożony, stanowi dyskretny parawanik dla prowadzenia poufnej rozmowy. Zwinięty odgrywa dominującą rolę podczas towarzyskiego „cercle", hamującą ręce od zbytecznej gestykulacji. „Ogi" może posiadać specjalnie okrągły fason i wówczas zwie się „uciwa", może również być składanym, czyli „sensu". Ten ostatni rodzaj wachlarzy ka oddaje nieocenione usługi oficerom armji i floty, którzy nosząc go ukryty w rękawie munduru, każdej chwili mogą zużytkować go do wachlowania się.

Sztucznie spreparowany papier, masa perłowa, drzewo, kość słoniowa — oto materjały z których mistrzowie zgrupowani we wspólnym cechu, sporządzają subtelnie rzeźbione, pełne wysokiej artystycznej wartości wachlarze.

Zdarza się, iż taka Otake San, wychowanka francuskiej Sorbony po powrocie do rodzicielskiego domu w Kioto lub Tyama, zachowa już na zawsze europejski ubiór, lecz wachlarz i tak znajdzie się w jej ręku.

A „Koto" ta pierwotna lutnia? Niestety zanika. Zdobi jeszcze jako wartościowy, odziedziczony po przodkach antyk mieszkanie współczesnych, lecz dźwięczy jedynie w herbaciarniach, ukrytych wśród zaułków dużych, amerykanizujących się miast. — Gdzieś w chacie na peryferji żona ubogiego „rikszy", suchotniczego konia i woźnicy w jednej osobie, muska wychudzonymi palcami cieniutkie struny „koto". Podobnie dziewczyna sprzedająca swe wdzięki za jeny czy wszystkie inne waluty świata, rano przygrywa swemu przyjacielowi, który jako t. zw. „chiki-teczaja" (dosłownie: wabiący do herbaciarni), ma ją w swej opiece i przyciąga jej klientów.

Lecz „koto" jako symbol muzyki i sztuk pięknych, autorytetem swej powagi wspiera każde artystyczne poczynania, znaczące nową kartę w kulturze dalekiego Wschodu. Wierność i przywiązanie do symboliki tych trzech elementów, nadają duszy kobiety orjentalnej piętno tajemniczości.

Edgar Smith, amerykański badacz Wschodu, zadał raz podczas przyjęcia u jednego z dygnitarzy w Tokio, pytanie, w czem tkwi właściwa przyczyna, iż córy Wschodu pod niejednym względem przewyższają Europejki, nie mówiąc już o Amerykankach.

Dowcipna żona gospodarza, ponętna Japonka odparła:

— Profesorze! Proszę zapamiętać sobie dwuwiersz, wygłoszony przez samuraja z Kagoszime przed wiekami, do pierwszych białych ludzi, którzy stanęli na naszej ziemi:

„My mamy skórę żółtą wy zaś macie białą,
Wszakże złoto od srebra, droższe jest niemało".

Dokończenie ze str. 4-tej.

nale znaliśmy sens tych wypadków. Na drugi dzień z tajemniczego pokoju przeniesiono jeszcze szafkę z książkami i zwinięto dywan, który zazwyczaj leżał na podłodze. Zwinięcie dywanu było niemylnym znakiem, że w pokoju obok gabinetu zaczynają się dziać rzeczy zarówno tajemnicze, jak i dziwne.

W kilka dni później, mały pokoik zamykano na klucz.

Ani ja, ani mój brat, nie pytaliśmy się nigdy dlaczego jeden pokój wyłączony został z codziennego życia. To były rzeczy, o których wiele się myślało, lecz nie stanowiły one przedmiotu głośnej rozmowy. Instynktownie szanowaliśmy tajemnice, która istniała przecież tylko dla nas.

I oto w nasz cichy dom wstępowała nagle niepokojąca tajemniczość. Z wszystkich pokoi najważniejszym stawał się ów szczelnie zamknięty.

Gdy wieczorem wracaliśmy ze ślizgawki, długo staliśmy z bratem na mrozie, wpatrzeni w okno zamkniętego pokoju. Zauważyłem, że właśnie wówczas, gdy nie było nas w domu, czyjaś ręka zapalała w nim światło. Gruba stora w równe pionowe pasy przysłaniała dokładnie wnętrze. Lecz mimo to staliśmy długo na śniegu, wpatrując się w światło, które płonęło „tam".

Wieczory zimowe są długie. Już o czwartej popołudniu w dziecinnym pokoju zapalano lampę. Do dziś dnia tęsknię do jej łagodnego światła. Była to zwyczajna naftowa lampa z porcelanową umbrą, wewnątrz białą, a zewnątrz jasno-zieloną.

Gdy już leżeliśmy w łóżkach, wówczas dopiero mówiliśmy o „drzwiach zamkniętych". Przykręcona lampa rzucała przyćmione światło. Na przeciwległej ścianie migotał złoty refleks na ramie świętego obrazu. Za oknami stała mroźna górska noc. Ciszę przerywał daleki brzęk dzwonków sanek, które przejeżdżały drogą za parkiem. Polana drzewa ułożone za piecem dopiero w nocy wydawały żywiczny zapach. Powoli zacierały się kontury rzeczywistości. Czterowymiarowy świat dnia przechodził zwolna w bajkę, która mieszka przecież w każdym dziecinnym pokoju.

I wkońcu przychodzi „ten" dzień. Wszystko mówiło o tem, co miało się stać wieczorem. Obiad podawano o dwunastej, w całym domu panowało gorączkwe podniecenie, wyprawiano nas na spacer. Lecz właśnie tego dnia nie nęciła nas ani ślizgawka, ani saneczki, ani zabawy z naszym wiernym towarzyszem psem Obalem Krążyliśmy koło domu, pełno nas było wszędzie, przeszkadzaliśmy wszystkim, ustawicznie dopytując się... która godzina?

Gdy zapłonęła pierwsza gwiazda, przybrani odświętnie zasiadaliśmy wszyscy do wilji. W pełnem wzruszenia milczeniu łamaliśmy się opłatkiem. Pamiętam, że wigilijna wieczerza bywała chyba jedynym w roku posiłkiem, w czasie którego ani mnie, ani brata nie było poprostu słychać. Z wypiekami na twarzy jedliśmy szybko i niewiele, nagląc wzrokiem Marcysię, by prędzej podawała następne dania. Starsi niestety nie podzielali naszego zdenerwowania. Ojciec przy czarnej kawie spokojnie palił cygaro, obserwując nas z uśmiechem udając, że wcale się nie domyśla o co nam chodzi.

Dzwonek.. Powoli, z trzepocącemi jak u schwytanych ptaków sercami, z błyszczącemi oczyma szliśmy przez ciemny gabinet ojca ku otwartym drzwiom „wielkiej tajemnicy".

Tak oto iści się bajka dziecinnego pokoju Nie było zdrady marzeń — realizacja odpowiadała najzupełniej wyśnionej baśni. To przecież nazywamy szczęściem...

W glorji płonących różnokolorowych świeczek stało olbrzymie drzewko, sięgające sufitu. A pod niem paczki zawinięte w kolorową bibułkę, przewiązane niebieskim sznureczkiem (to dla mnie) i czerwonym (dla mojego brata). Dłuższy czas staliśmy w niemej kontemplacji chwili ziszczeń — olśnieni — zachwyceni — oczarowani całkowicie i bez reszty. Drzwi „wielkiej tajemnicy" nigdy nas nie zawiodły. Coś nadziemskiego drgało w powietrzu, jakby anielskie włosy z choinki rozsnuły się po całym pokoju. Ach! któżby nie wierzy w anioły!?

Dopiero pierwsze akordy kolendy granej na fortepianie przez naszą nauczycielkę, wyrywały nas z zachwytu. Biegliśmy obaj pod drzewko i drżącemi rękami rozwiązywaliśmy kolorowe sznureczki. Któż opisze te szczęsny zamęt w dziecinnej główce, gdy ręce dotykają już jakiegoś „cudu", osłoniętego jeszcze ostatnią warstwą bibułki. A oto z pod kolorowego papieru błysnął róg pudełka. Co tam? Żelazna kolejka z lokomotywą, klocki czy rewja ołowianych żołnierzy? Ruch paluszków nie może nadążyć ciekawości — plącze się sznurek, palce i myśli w jedną bezgłośną szczęśliwość.

* * *

I przyszedł czas, że „tajemnicze drzwi" zamknęły się przedemną na zawsze. Rokrocznie nadchodziły wigilje, lecz drzwi „wielkiej tajemnicy" nigdy się już przedemną nie otwarły. Bajka pozostała w moim pokoju dziecinnym, który opuściłem tak dawno... Z rodzinnego domu zabrałem stare fotografje, trochę mebli i obrazów — lecz baśni dzieciństwa zabrać się nie dało.

Dopiero w tym roku, gdy po raz pierwszy po wielu latach w moim domu zapłonęła choinka, patrząc w szeroko rozwarte zachwycone oczy mej malutkiej córeczki, spostrzegłem, że drzwi „wielkiej tajemnicy" znów się przedemną otwarły...

Juljusz Mieroszewski.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Znaczki wydane na cele młodzieżowe.
Na lewo: Szwajcarja oraz Holandja.

Dziwnym zbiegiem okoliczności możemy właśnie w numerze gwiazdkowym zareprodukować najpiękniejsze znaczki jakie ukazały się w całym tym sezonie. A więc przedewszystkiem Austrja! Oto serja dobroczynna przedstawiająca słynnych techników i wynalazców, która pod względem wykonania nie ma lepszych od siebie, a równe zaś tylko w poprzednich serjach „wodzów“ i „muzyków“ w klasycznych markach U. S. A.

Do wartości nominalnej pobierane są dopłaty o tej samej wysokości, czyli że całość kosztowała 4.60 Sch. Poszczególne sztuki przedstawiają: 12 gr. (brązowa), J. Ressel 1793—1857, wynalazca śruby okrętowej, 24 gr. (fjoletowa), v. Ghega budowniczy kolei na Semmering o 15 tunelach i 16 wiaduktach, 30 gr. (karminowa), Werndl 1831—1889 konstruktor karabinów, 40 gr. (szara), Auer Freiherr v. Welsbach, wynalazca światła gazowego, osmium itd. itd. Dwie najwyższe wartości to wizerunki także obecnie żyjących v. Liebena (niebieska) i Kaplana (zielona). Bardzo racjonalnem jest podanie na samych znaczkach nazwisk, to czego zaniedbano kilkakrotnie przedtem (z firmy „Przybory filatelistyczne“, Kraków, Przemysłowa 7).

Śliczny w pomyśle i wykonaniu jest holenderski „aniołek z trąbką“. Serja obejmuje również jak i wszystkie poprzednie („Voor het Kind“) 4 wartości o niewielkich dopłatach, barwy te same co zwyczajnie, wykonanie — heliograwura.

Pewna różnica zachodzi natomiast w najstarszej ze seryj dobroczynnych czyli szwajcarskich „Pro Juventute“. Przez 9 lat zrzędu najdroższa sztuka za 30+10 c. przedstawiała różne słynne osobistości, a obecnie przeciwnie, portret zobaczą Czytelnicy „Kącika“ w następnym numerze na marce za 5+5 c. a pozostałe sztuki to dalsze stroje regjonalne. Wykonanie: tylko heliograwura, barwy ustalone już według wartości.

Poważnem wydarzeniem w polskim świecie filatelistycznym jest wytoczenie pozwu przez znakomite osobistości naszych klubów, a mianowicie pp. prof. Łaszkiewicza i Dr Tislowitza oraz Włodzimierza Rachmanowa przeciwko Józefowi Millerowi w Bielsku o występek zniesławienia. W każdym razie ten kto czytał osławioną broszurę p. t.: „13 lat walki o honor i cześć“ zrozumiał odrazu, że pisanie podobnych bredni to nie sposób walki „o honor i cześć“. Ze zrozumiałem zainteresowaniem śledzić będziemy przebieg tego procesu, prowadzonego ze strony powodów przez filatelistę — mecenasa dr. Landaua i jeśli nam tylko miejsce na to pozwoli, zapoznamy Czytelników ze wszystkiemi szczegółami.



Najnowsza serja znaczków austrjackich, wydana ku czci wielkich uczonych tego kraju. Od lewej w górnym rzędzie: Józef Ressel, twórca parowca śrubowego r. 1829, Karol von Ghega, zbudował kolej na Semmering r. 1854, Józef Werndl, twórca nowego typu karabinów, Karol br. Auer von Welsbach, znany fizyk, Robert von Lieben, znany fizyk oraz Wiktor Kaplan, twórca turbiny swego nazwiska r. 1912.

Innego rodzaju ewenementem jest ukazanie się „Małego Katalogu Znaczków Polskich“ Witkowskiego. Podobny cennik jest wprost niezbędnym dla każdego zbieracza, bo informuje nas lepiej o cenach aniżeli którykolwiek katalog zagraniczny. Naturalnie, że mamy i tu do czynienia z cenami „rabatowemi“ ale zato stosunek wartości znaczków jest uchwycony nadzwyczaj trafnie. Może się tylko wydawać jakoby zdarzały się stawki niewłaściwe, ale to złudzenie, bo zapasy danej sztuki są bardzo nierównomiernie rozłożone w różnych miejscowościach. W. H.

IRENA WIELGUSÓWNA

W TĘ JEDNĄ NOC

opowiadanie wigilijne

Zakręcił się dookoła świerka, poszarpał na nim biały kożuch i znagła przycupnął na ziemi, pod ciężkiemi, nisko zwisającemi gałęźmi. Poto tylko, aby za chwilę zerwać się znowu, w dzikim, nieprzytomnym pędzie śmignąć ku górze i pokłusować dalej.

Hasał wiatr po lesie, targał czuby zimnych, zakrzepłych w sobie drzew. Zdzierał z nich ciężkie, śnieżne okiście i mocnym, świszczącym dechem lodowatych płuc rozdmuchiwał je na sypki, zwiewny pył. Wyszarpywał z pod śniegu zrudziałe kępki trawy, stukał w konary drzew, syczał, pędził, zawracał, pienił się w złości bezsilnej tumanami roztrzepywanego śniegu.

W starym, mocnym lesie oszalał bies — rozpętało się licho...

Pod lasem, w chacie kowala niewiele było lepiej. Stara kowalka zła dziś była od rana samego, jak osa i całą złość swoją — jak to zwykle bywa, zwalała na synową. A to jej pod ręce się pcha i zawadza — a to położy tam, gdzie nie trzeba — to znowu niezdarnie pomaga w robocie.

Synowa, choć do łajania ciągłego przyzwyczajona i pogodzona z niem prawie — bo przecież biedna była i do chałupy męża nic prawie swojego nie przyniosła, bo tylko te chustki dwie i pierzynę jedną, lichą w dodatku — dziś przecie, w takim dniu, kiedy do głowy pchają się wspominki o tem, jak to było dawniej, kiedy mamusia nieboszczka żyli, a tatuś z lasa ośnieżoną choinkę przynosił — dziś ciężej jakoś było znosić złość i łajania świekry.

Pomaga synowa, stara się, jak może, tylko łza jedna i druga kapnie jej to na ławkę, gdzie postawiła przyniesioną konewkę z wodą, to na struclę, którą za małą chwilę trzeba będzie wyjąć z pieca.

A w kowalkę jakby z dziesięć ognistych djabłów wlazło. To łyżką o ziemię praśnie, to znowu udrze się tak, że aż ją w opłotkach słychać.

Syn na ławie pod oknem usiadł, papierosa kurzy i spokojnie patrzy na to, co matka wydziwia.

— A dyć byście choć dziś, przy świętej wigiliji dali spokój — może by się wam potem na cały rok na lepsze odmieniło, bo już w całej wsi wiedzą coście za jedna i prześmiechy z was robią.

Syknęła kowalka, bo w prędkości rozpalony garnek gołą ręką za ucho ułapiła. Radaby cały wrzątek na głowę synowi wylała, ale nie śmie. Mocny jest i do bijatyki prędki. Ale niechby to był stary, albo która z dziewuch — no!

— Nie chcesz słuchać, to se idź — odrzekła. — A Hanusię swoją z sobą se weź — nie wielka mi z niej pomoc i wyręka...

Kowal cicho do izby się wsunął i przy samych drzwiach stanął, żeby łatwiej mu było uciec, jakby — nie daj Boże — na co więcej się zanosiło. Taki to był chłop z niego. Rękę miał mocną, zdatną do młota i kowadła, ale z babą nijak sobie poradzić nie umiał.

Syn, jedynak to co innego. W matkę widać się wdał. Taką se pociechę wychowała, że się nieraz przed drugimi na niego użalać musiała, choć oboje jedno wiedzieli. Płakała na niego i Hanka, a dziewuchy radeby czemprędzej za mąż się powydawać, aby ino z domu iść, między ludzi.

Uwijały się baby, bo dzień krótki i ino patrzeć, jak się mroczyć zacznie. A roboty huk. I w stajni, koło bydła i w izbach porządki pokończyć i do wilji wszystko przygotować.

Kowalka swarą z synem jeszcze więcej pozłoszczona utykała na kim mogła. Dziewuchy szturkały się po kątach, każda radaby robotę co cięższą na drugą złożyć. A wszystko zwalało się na Hankę, której łzy za nic nie chciały obeschnąć. Bo to tak, jakby jej kto książkę z obrazkami, kartka po kartce przed oczami przewracał, tak dziś akuratnie przypominała sobie wszystko. I mamusię, nieborzyczkę, co ją, Hankę, jedną tylko miała i choć bieda była w chacie, co tylko mogła najlepszego pod gębę jej podtykała. Wspomniała sobie i tatusia, jak bez dwie zimy ciągiem ino chorował i dopiero łońskiego roku, w samiuśkie święta zmarł.

Użalała się nad swoją sierocą dolą, bo się jej akurat przypominały wszyściutkie krzywdy i swarzenia, jakie ciągiem od kowalki słyszała, odkąd tylko za Józkiem była. A Józek, choć ją ta niby przed matką broni, nie taki jak se zrazu myślała — oj, nie taki...

Kowalka zaś rządzi, pogania a pomstuje. Już to trzeba przyznać, że sekutnica z niej szczera, ale i gospodyni, jak się patrzy. Wszystko musi być zrobione w porządku, jak trzeba.

Tak to w chacie kowala pod lasem pełno było krzyku, wymyślań, churkotania.

W lesie zaś grasował wiatr. Niewiele jednak mógł poradzić. Pootrząsał śnieg ze wszystkich już niemal drzew, porobił zaspy i wydmuchy. A teraz syczał, świstał i tłukł się bez celu. Ot, tak tylko — aby ludziom na złość, a sobie na uciechę.

Czasami zapędzał się niżej, ku pustym polom, ale znudzony tem, że nikt mu się nie sprzeciwia, ani na drodze nie staje, drugą stroną zawracał do lasu.

I znów ten sam taniec, te same harce i poświsty.

Nagle na niebie zaczęły zapalać się gwiazdy. Szybko jedna po drugiej, a chwilami i po kilka naraz. Jakby i one pokłóciły się o coś między sobą i żadna z nich drugiej pierwszeństwa dać nie chciała.

I od tych gwiazd chyba, wysoko na niebie rozgorzałych, na ziemi dziać zaczęły się dziwy.

Więc najpierw wiatr-hulaka, co właśnie od pól szerokich ku lasowi zawrócił, przysiadł na skraju polany, skulił się pod drzewkiem, z samego brzega rosnącem, i już tylko ledwo że ledwo dychał.

Rozwiodło się po lesie milczenie głębokie i tylko szumem cichości grające.

Nadchodziła noc.

Na szafirowem niebie wciąż zapalały się gwiazdy. Jaśniejsze i bardziej, niż zwykle, złote.

I z tych gwiazd chyba, wysoko na niebie rozgorzałych, płynęły melodje ciche, jakby na niebieskich wygrywane organach. Nuty kolęd i pieśni wigilijnych.

Poprzez zaspy i wydmuchy — przez zagony i pola szerokie — skrawkami ścieżyn, zaledwie nikłym śladem stóp zaznaczonych — szła cicha, święta, wigilijna noc.

Skręcała na drogi polne — na gościńce szersze, przetarte — szła między płoty, do chat, do ludzi.

Pozapalały się w oknach żółte światła, jaśniejsze niż zwykle.

Na sercach ludzkich pokładły się dobroć, sprawiedliwość i uspokojenie. Dlatego, że gwiazdy na niebie zaświeciły, i że przyszła pora, aby każdemu dać to, co mu się należy.

I choć sobie niejeden w skrytości pomyślał, że to dzisiaj tak tylko, bo wilija święta — i że przez cały rok nieraz sobie na drugich krzywdować będzie musiał — przecie machał ręką na wszystko. A niech ta! — aby dziś tylko — aby choć jeden raz.

Więc Bogu dziękował za wszystko, choć nieraz, kiedy na biedotę jaką trafiło — niebardzo było i za co.

A kiedy jeszcze kolendę o Jezusie, co się w lichej urodził stajence, skrzypiącym głosem zaśpiewał — wtedy nie było już trosk, ani utrapień — wtedy dobroć, jak miód rozlewała się po sercu, a wróg, choćby i największy, bliskim się stawał.

Odnalazł i kowal swoje miejsce za stołem. Wszyscy do niego najpierw pchali się z opłatkiem — on pierwszy za łyżkę ułapił i jadło do siebie przysunął. I choć mu zrazu trochę wstyd było, że go tak wszyscy za pierwszą osobę uważają — przecie rad się z tem pogodził.

A kowalkę jakby co odmieniło. Prawie nie ta sama, co zrana. Do każdego grzecznie, po imieniu, zagada, miski podsuwa, do jedzenia namawia.

Siedzi Hanka na rogu stołu, a oczy ma suche i jarzące. Józuś przy niej, za rękę ją trzyma i do ucha same przyjemne słowa pogaduje.

Siedzi Hanka cichutko i tak jej dobrze, że i u rodzonej nieborzyczki nie było lepiej.

Złote gwiazdy za oknem, wysoko, na niebieskich organach ciche wygrywają melodje.

Te same, które śpiewają w chacie kowala.

Stare, odwieczne kolendy, tkliwe, żałosne, współczujące.

Litują się ludzie nad losem Bożej Dzieciny w ten święty wieczór wigilijny, choć ich twarde serca na dzień powszedni tak mało mają litości.

W starych, dziwnych słowach od wieków śpiewanych kolend, zatracają wszystkie złości, smutki i zgryzoty.

I tak co rok, w tę jedną jedyną noc, ponad biedną, utrapioną wsią rozwiesza swe skrzydła szerokie dobry anioł poezji.



Powyżej na lewo: Fred Kohler.



Poniżej na lewo: Gaston Jacquet.

METAMORFOZY
„CZARNYCH CHARAKTERÓW" EKRANU

Niemal od zarania dziejów kinematografji, aż do czasów bezpośrednio poprzedzających zniknięcie filmu niemego, standartową obsadę obrazów filmowych stanowiła trójka, złożona z amanta, amantki i „czarnego charakteru". Utarty szablon chciał, aby to ciemne indywiduum, zwane w kinematografji amerykańskiej „heavy", a w francuskiej „vilain", triumfowało i brało górę w akcie trzecim, aby po zwarjowanym wyścigu aktu piątego, dostać od amanta porządne lanie w akcie szóstym!

Byli również tacy, którzy prześladowali bohaterów przez sześć czy osiem seryj i bywali zgładzani w ostatnim akcie ostatniej serji, a więc po 36 lub 48 aktach niebywałych wyczynów. Owa „trzecia rola" posiadała specjalne znaczenie zwłaszcza w filmach amerykańskich, gdzie „szwarccharaktery" dzieliły się na dwie zasadnicze grupy. Do pierwszej należeli wytworni przestępcy, do drugiej zaś brutale. Pierwsi oszukiwali, kombinowali i uwodzili, tamci bili, gwałcili i mordowali.

Członkowie filmowego klubu wyfraczonych złoczyńców najprędzej dali się nawrócić na drogę cnoty i porzucili swoje niewdzięczne role, aby poświęcić się innym, bardziej ogólno-ludzkim. Uczynili to przedewszystkiem czterej panowie o klasycznych wąsikach: William Powell, Adolf Menjou, Jack Holt i Lew Cody.

William Powell, jeden z najinteligentniejszych aktorów ekranu amerykańskiego, rozpoczął swoją karjerę, jako przysięgły „zły duch" swojego brata Davida Powella, nieżyjącego już dzisiaj amanta. Po kilku latach poznali się reżyserzy na talencie Williama Powella i zaczęli powierzać mu role bardziej skomplikowane i sympatyczne. Jako amant charakterystyczny, stał się Powell ulubieńcem publiczności, która umiała ocenić jego dyskretny humor.

Karjera Adolfa Menjou była nieco podobna do dziejów Powella. Przez szereg lat talent jego marniał w kleszczach szablonu. W dziesiątkach filmów grywał role łotrzyków, aż wreszcie Charlie Chaplin zwrócił uwagę na jego możliwości i powierzył mu trudną rolę Piotra Revela w swoim filmie dramatycznym „Półświatek paryski" (A Woman from Paris). Film ten stał się punktem zwrotnym w karjerze Adolfa Menjou. Odtąd grywał role „normalne". Ostatnio gwiazda jego nieco przybladła, ale w każdym razie zerwał on raz na zawsze z szablonem „szwarccharakterów".

Trzeci z tej grupy, mężny Jack Holt, dość szybko zrezygnował ze „straszenia ludzi", bo powołano go do grywania ról szlachetnych cow-boy'ów i sportowców po śmierci ulubieńca Ameryki, Wallace'a Reida. W czasach filmu dźwiękowego Holt był bohaterem szeregu filmów reżysera Franka Capry, a już zupełnie niedawno podziwialiśmy go, jako rycerskiego pułkownika wojsk północnych w „Małym buntowniku" z Shirley Temple. Również zmarły przed kilku laty Lew Cody zamęczał napierw w szeregu obrazów przeróżne Normy i Almy, zanim owładnęły nim lepsze uczucia.

Tacy aktorzy, jak Frank Campeau (zawodowy szeryf z początkowych filmów Douglasa Fairbanksa), Donald Crisp (bokser ze „Złamanej lilji"), Clarennce Burton (z filmów Cecila B. de Mille'a), Raymond Hatton i Wallace Mac Donald (ostatnio w filmie „Papua"), Robert Mac Kim, Fred Kohler, Bull Montana, Walter Long, Dick Sutherland, czy wreszcie popularny ongiś Ernest Torrence stanowili przez szereg lat bandę łobuzów i opryszków najgorszego autoramentu. Niektórzy z nich dzisiaj już nie żyją, inni znów zmienili genre.

Dwaj aktorzy francuscy, przebywający przez kilka lat w Hollywood — Léon Bary i Charles de Rochefort — grali zawsze w Kalifornji role bandytów w białych rękawiczkach. Po powrocie do Francji rozszerzyli swoje pole działania i niekiedy tylko odzywają się w nich dawne złe instynkty.

Wallace Beery, który dawniej grywał wy-



Wallace Beery.



Hans Adalbert v. Schlettow



Bazyli Sikiewicz.



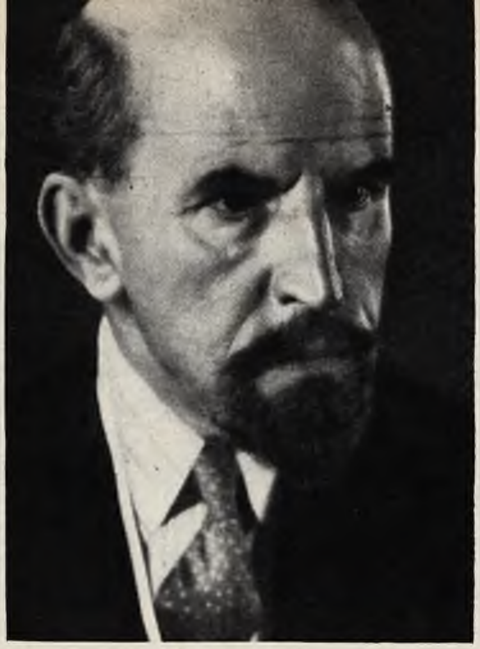
Konrad Veidt.

łącznie szablonowe role rzezimieszków, dzisiaj jeszcze niejednokrotnie odtwarza postaci najohydniejszego gatunku, ale rozszerzył znacznie swoje możliwości aktorskie. Jest on dzisiaj jednym z najlepszych aktorów charakterystycznych światowego ekranu. Jego brat Noah Beery stracił znacznie na popularności. Przebywa on obecnie w Anglji, gdzie ukazuje się sporadycznie w filmach krajowej produkcji.

Jean Hersholt i Leon Carillo osiągnęli dużą popularność od czasu, kiedy poświęcili się rolom sympatycznym, natomiast Stuart Holmes porzucił całkowicie ekran i zajął się pracą dziennikarską. Z dawnych „czarnych charakterów" wierni swojemu powołaniu pozostali: Gustaw von Seyffertitz, grający nadal role szpiegów i srogich oficerów, Alan Hale (ostatnio grał rolę doktora Kruga w „Bohaterze") i mało u nas znany Philo Mac Cullough. Niniejsza lista „vilain'ów" ekranu amerykańskiego nie byłaby kompletna, gdybyśmy nie wspomnieli i o tem, że rozpoczynali swoją karjerę filmową w charakterze „czarnych typów": nieżyjący już „człowiek o stu twarzach" Lon Chaney i późniejszy reżyser Eryk von Stroheim.

Kinematografja niemiecka nie znała prawie wcale typu stuprocentowego „szwarccharakteru". Niesympatyczne role grywali częstokroć aktorzy charakterystyczni, jak Albert Bassermann, Werner Krauss, Paul Wegener, Rudolf Klein — Rogge, Bernhardt Goetzke czy Heinrich George, ale „regularnymi" ciemnymi typami byli właściwie tylko Conrad Veidt przez długie lata wyspecjalizowany w rolach szaleńców i sadystów, i Hans-Adalbert von Schlettow, pamiętny Hagen Tronje z „Nibelungów".

W przeciwieństwie do niemieckiego — film francuski zna w swoich dziejach cały



Gustaw v. Seyffertitz.

szereg zawodowych łotrów, z których kilku grasuje jeszcze do dziś dnia. Ojcem francuskich czarnych typów był nieżyjący dziś reżyser Louis Feuillade, który wprowadził na ekran kilka „ciemnych" typów, mających za zadanie dokuczanie biednej sierotce (Sandra Milovanoff) lub też dostarczać tematów dla wyczynów pamiętnego Judexa. Na czele owej bandy opryszków stali dwaj wytworni panowie: Edouard Mathé i Fernand Herrmann, a „mokre roboty" wykonywali zawsze z ich polecenia Gaston Michel, Emile André, Louis Leubas czy Charpentier. Czołowymi bandytami i opryszkami innych filmów francuskiej produkcji byli przez długie lata René Navarre, Gaston Modot, Paul Vermoyal, José Davert, Acho Chakatouny, Maxudian, Charles Vanel i Gaston Jacquet. Ostatni dwaj zmienili później rodzaj ról, przerzucając się do rozmaitych kategoryj. Vanel grał ostatnio nader trudną rolę męża w „Załodze" Kessela. Gaston Jacquet, który grywał z jednakiem powodzeniem role antypatyczne i amantów, role kostjumowe i komików charakterystycznych, powrócił ostatnio do ról łotrzyków w „Potworze" Duviviera. W ostatnich latach wybitne miejsca w galerji przestępców zajmują Jean Galland (adjutant z filmu „Tajna brygada") i Jean Max (Koenigsmark, Oczy czarne i Tajna brygada).

Z pośród mniejszych państw, Italja miała dwóch wybitnych przedstawicieli omawianego w niniejszym artykuliku „emploi" aktorskiego. Byli nimi nieżyjący już dzisiaj znani artyści Amleto Novelli i Emilio Ghione (niezapomniany Zalamort). W Polsce nieraz zdarzało się, że rozmaici aktorzy sceny czy filmu grywali antypatyczne postacie (Stępowski, Jaracz, Samborski, Węgrzyn, Orwid i inni), ale najwybitniejsze kreacje tego typu dali bezwzględnie popularny Lech Owron i znakomity Bazyli Sikiewicz, którego rola kozackiego oficera w „Roku 1914" pozostała poprostu klasyczną. W ostatnich miesiącach Wacław Pawłowski wskrzesił w „Trędowatej" najgorszą tradycję szablonowego „szwarccharakteru", który oby już zniknął nazawsze! Obecny poziom artystyczny kinematografji wymaga, by na ekranie poruszali się żywi ludzie, a nie kukły. Szablonowy „czarny charakter" przeszedł do historji. Zachowajmy o nim „miłe" wspomnienie, ale nie wyciągajmy go z lamusa!

Karol Ford.

HAFTY LUDOWE
ZIEMI KRAKOWSKIEJ I PODHALA



Koronka do spódnicy z Skawiny, r. 1840.



Parzenica góralska w kolorach czerwonym i czarnym.

Sztuka ludowa, będąca spontanicznym wyrazem poczucia artystycznego naszego ludu, budziła i budzi coraz większe zainteresowanie. Jej prymitywność i szczerość, wysokie poczucie barwy i ornamentalnego rytmu, różnorodność i wartość estetyczna motywów — wszystko to są walory, które dopiero wiek dwudziesty umiał należycie ocenić. W ślad za tem zainteresowaniem poszły wzmożone wysiłki, aby sztukę ludową ochraniać i nie dać jej wygasnąć, aby w ludzie naszym utrwalić zamiłowanie do stroju i zdobnictwa opartego o piękną rodzimą tradycję. Niestety usiłowania te nie mogą dać oczekiwanych rezultatów i powolny upadek sztuki ludowej zdaje się być nieuchronny. Wiele przyczyn się na to składa. Wytwórczość fabryczna konkurująca taniością z wytworami ręcznemi, zmienione warunki życia naszej wsi, postęp oświatowy i techniczny, atrakcyjność miast — oto czynniki, które składają się na niekorzystne dla rozwoju ludowego stroju i zdobnictwa podłoże społeczne i ekonomiczne. A nie zapominajmy, że sztuka ludowa, to zjawisko spontaniczne i samorodne, rządzące się własnemi prawami i żadna programowa akcja nie sforsuje jej istnienia na tych terenach, na których swobodny jej rozwój traci warunki istnienia, psychiczne i materjalne. Sztucznie nie da się jej wskrzesić.

Jedyną więc celową formą zainteresowania i pietyzmu dla wytworów sztuki ludowej, jest zbieranie ich, ochranianie przed zniszczeniem i właściwe konserwowanie i udostępnianie szerszym warstwom w odpowiednio urządzonych muzeach.

Jedną z piękniejszych i bogatszych gałęzi artystycznej wytwórczości naszego ludu jest hafciarstwo. Zasięgiem swym obejmuje niemal cały kraj, a różnice w kolorycie, formach ornamentu i technikach pomiędzy poszczególnemi połaciami kraju są znaczne. Toteż nie sposób mówić ogólnikowo o hafcie ludowym w Polsce, poprzestając na ogólnych określeniach. Piękne, na roślinnych motywach oparte hafty ziemi krakowskiej nie wiele mają wspólnego z prymitywniejszym, geometrycznym haftem poleskim, a barwne szlaki ruskie z kunsztownym haftem na tiulu z Wielkopolski. Toteż w niniejszem artykule omówimy jedynie ludowe hafty ziemi krakowskiej, jako najstarsze, na najwyższym znajdujące się szczeblu rozwoju, oraz terytorjalnie, a niekiedy i pod względem techniki bliższe im hafciarstwo Podhala, szerzej mówiąc — góralskie.

Że hafciarstwo okolic Krakowa jest najstarszem na ziemiach polskich, na to mamy wiele dowodów. Cykl „Typów polskich" Norblina, znajdujący się w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, a wydany przez Bystronia, potwierdza to w zupełności. Podczas gdy chłopi z innych okolic mają je-



Ciekawie haftowany kołnierz z Pienin.

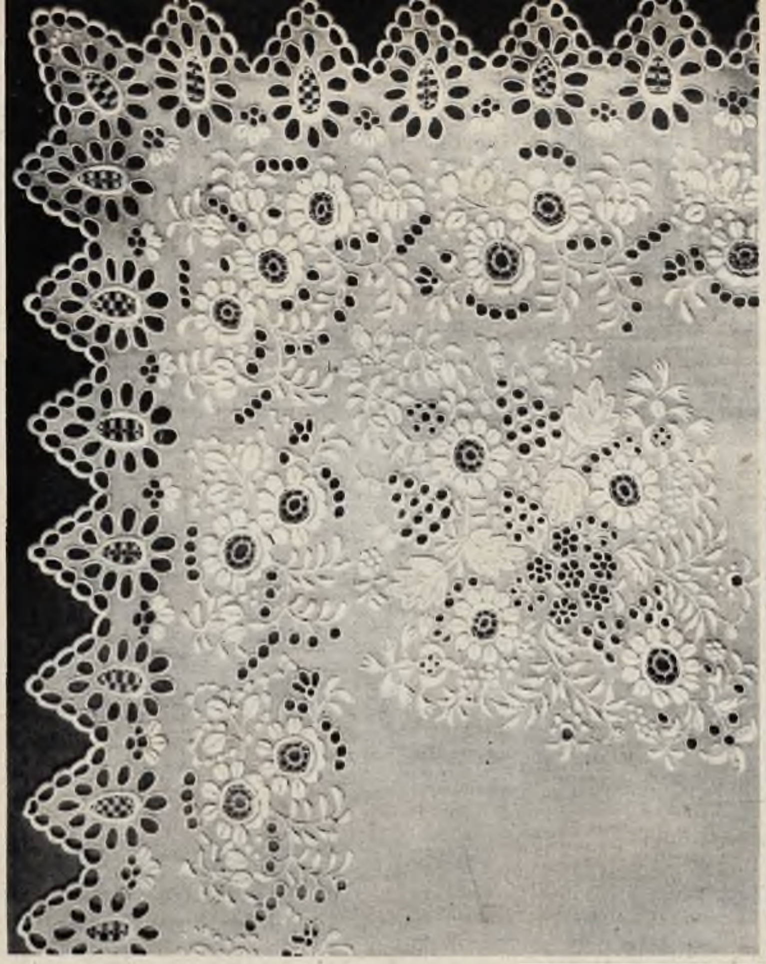
szcze stroje gładkie pozbawione wyszywań, na ubiorach krakowiaków widzimy już haftowane szlaki i inne ozdoby. Również wysoka biegłość i doskonałość poczucia kompozycji krakowskich hafciarek wskazuje na starą i wykształconą tradycję, a motywy roślinne, któremi się posługują, wskazują na wyższy stopień rozwoju, który w zdobnictwie ludowem z reguły idzie od prymitywniejszego ornamentu geometrycznego, abstrakcyjnego, do botanicznego, od linearnego do płaszczyznowego.

Najpiękniejszy i najbujniejszy rozwój haftu w okolicach Krakowa przypada na drugą połowę ubiegłego stulecia. Dziś — jak wszędzie — zanika on, tradycja się rwie, czystość stylu zaciera, produkcja maleje. Łączy się to ściśle z zanikaniem krakowskiego stroju, którego haft jest uzupełnieniem i ozdobą. W bliższych okolicach Krakowa znany jest tylko haft biały, który występuje na tzw. chustach czepcowych, kołnierzach i przodach koszul, oraz na fartuszkach. Haft kolorowy zdobiący kołnierze czy suki (zwane też bógzapłaćkami) sukman męskich, oraz kryzy koszul kobiecych, występują jedynie na tzw. Powiślu Dąbrowskiem, u ujścia Dunajca do Wisły. Barwne gorsety krakowianek z reguły zdobione są naszyciami szychowemi, koralami i pomponami z włóczki, lecz haft się na nich nie pojawia.

Technika hafciarstwa krakowskiego ogranicza się do dziergania t. zw. dziurek, pła-



Kryza haftowana do koszuli kobiecej z Zalipia, powiat Dąbrowa.



Narożnik chusty czepcowej z Kocmyrzowa, powiat Kraków.



Haft na fartuszku z Skawiny, rok 1840.

***Poniżej:** Wnętrze góralskiej izby w miejscowości Stare Bystre, powiat Nowy Targ, odznacza się wielkiem bogactwem haftowanych poduszek. Przykro odbija fabryczna niemiecka poszwa z napisem „Gute Nacht".*

Wszystkie zdjęcia ze zbiorów Muzeum Etnograficznego na Wawelu.



skiego ściegu atłaskowego i ażurowych wypełnień robionych igłą, zwanych „robótkami". Zato różnorodność motywów jest duża, a ogólny ich charakter zdradza wpływy stylu barokowego, który w okresie bujnego rozkwitu hafciarstwa krakowskiego w w. XIX trwał jeszcze w konserwatywnej sztuce prowincjonalnej, w snycerstwie i haftach kościelnych wiejskich kościołów.

Najbogatszą częścią stroju kobiet podkrakowskich pod względem haftu, i zarazem dla tych okolic najtypowszą jest tzw. chusta czepcowa. Jest to kwadrat z białego płótna o boku około 1,20 m, ozdobiony obficie białym haftem. Kompozycyjnie występują tu trzy elementy: brzeg cz. ząbki, bogato nieraz rozczłonkowane i uzupełnione wypełnieniami, szlak i na jednym rogu duży motyw cz., trójkąt. Chusty te złożone w trójkąt wiążą kobiety naokoło głowy w charakterystyczny sposób, a po rodzaju wiązania węzła poznają się wieśniaczki z poszczególnych parafij.

Hafty kolorowe z Powiśla Dąbrowskiego faworyzują przedewszystkiem kolory czarny i czerwony. Poszczególne motywy roślinne haftu krakowskiego noszą swoiste nazwy, jak „pecoki" (małe listki okrągłe), „piórka" (listki podłużne) itp. W skład ich wchodzą kwiaty róży, granatu, kłosy pszeniczne, winograd wraz z gronami, serca i rozmaite listeczki i gałązki. Główne centra haftu krakowskiego, to Tyniec, Czernichów, Skawina, kolorowego zaś Zalipie koło Dąbrowy.

Haft podhalański, opierający się jeszcze przeważnie na formach abstrakcyjnych, geometrycznych, występuje najczęściej jako ozdoba stroju męskiego, w barwnych i bogatych parzenicach na spodniach, na serdakach i na szlakach guń, biały zaś na bieliźnie kobiecej i na poszwach poduszek, które w izbie góralskiej stanowią nietylko przedmiot użytkowy, lecz legitymację zamożności domu i element dekoracji wnętrza. Ustawia się je na wysoko, aż pod powałę, zasłanem łóżku w charakterystyczny sposób, pozwalający na uwidocznienie efektu bogatych ażurowych szlaków. Różnorodność motywów białego haftu podhalańskiego jest dość ograniczona, cała zaś pomysłowość i fantazja zdobnicza hafciarzy góralskich wyraża się w pełni w hafcie kolorowym.



Hafciarka Zofja Szablina z Gręboszowa, pow. Dąbrowa, w pięknie haftowanej koszuli.



Haftowana kryza do koszuli kobiecej z Zalipia, powiat Dąbrowa.

W hafcie tym największą rolę grają tzw. parzenice przy rozcięciu spodni. Pochodzenia tej formy nie da się ściśle ustalić. Niewątpliwym jest jednak faktem, że szamerunki mundurów huzarów węgierskich nie pozostały bez wpływu na powstanie tzw. parzenicy pętlowej. Z początku parzenice wykonywano z barwionego sznura, zrazu wyłącznie czerwonego, potem czerwono-niebieskie, wkońcu technika hafciarska zastąpiła naszywanie sznura, a zasób barw się wzbogacił. Góralscy krawcy odbijają wzór parzenicy zapomocą drewnianej formy na całkowicie uszytych już spodniach, haftują go zaś ściegami łańcuszkowym i płaskim. Robotę tę wykonywują przeważnie młodzi chłopcy, zaprawieni do niej przez ojca-krawca niemal od dzieciństwa. Szanujący się krawiec góralski umie wyhaftować conajmniej 6—7 odmian motywu parzenicy, a cena „cyfrowania" zależy od ilości zastosowanych barw i motywów. Niestety pstrokatość jaskrawych kolorów dzisiejszych parzenic i nadmiar drobnych kwiatowych ornamentów są znamionami upadku tej pięknej i tak oryginalnej formy zdobniczej, zanikającej zresztą wraz z strojem góralskim.

Barwne szlaki na serdakach i guniach haftują górale również ściegiem łańcuszkowym i płaskim, lecz i tu coraz trudniej o czyste dawne motywy, a fabryczna tandeta zw. zakopiańszczyzną wyparła i skaziła szlachetność barw i ornamentu. Strój góralski piękny i strojny, ale niepraktyczny i drogi, zwolna ustępuje miejsca banalnym strojom miejskim, a wraz z nim hafciarstwo ludowe naszego Podhala kurczy się i wygasa.

Ewa Mieroszewska.

BOŻE NARODZENIE

NA SCENIE KRAKOWSKIEGO TEATRU



Ilustracja Włodzimierza Tetmajera do książkowego wydania „Betleem Polskie" L. Rydla.



Scena z „Wyzwolenia" Stanisława Wyspiańskiego na scenie krakowskiego Teatru. Jako Konrad — J. Osterwa.



Strażnik Krzemieniecki Złota Czaszka (w dramacie J. Słowackiego) śpiewa Kolendę. W roli strażnika L. Solski.

„Rzecz dzieje się na scenie teatru krakowskiego". Tak określił na karcie tytułowej Stanisław Wyspiański miejsce, w tkórem rozgrywa się akcja jego genjalnego dramatu — „Wyzwolenia", będącego równocześnie najwspanialszym pomnikiem, poświęconym znaczeniu krakowskiej sceny.

Konrad, walczący o rząd dusz, szukający drogi, wiodącej do zdobycia niepodległości państwa, znalazłszy się sam na wielkiej, pustej scenie, w jasnowidzeniu odnajduje wielkie prawdy i najlepsze drogowskazy. Gdy skończył rozmowę z Maskami, ze sceny tworzy się mroczne wnętrze dużego pokoju, otwierają się podwoje środkowej ściany i „widać izbę niewielką mieszkalną i drzewko oświetlone i ustrojone, zawieszone u stropu. Nad kolebką pochylona matka ssać daje piersi dzieciątku i kołysze się w takt nuconej półgłosem kolendy. Aniołowie obstąpili kolebkę chórem...".

Nastrój wigilijny, wizja narodzin Bożych na scenie krakowskiego teatru, budzi w duszy Konrada wiarę w zmartwychwstanie Polski.

Bożego narodzenia
ta noc jest dla nas święta.
Niech idą w zapomnienie
niewoli gnuśne pęta.

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.

Zwyciężę na tej ziemi,
z tej ziemi PAŃSTWO wskrzeszę.
Synami my twojemi
błogosław czyn i rzeszę!

Wizja przypomina Wyspiańskiemu, że największą świętością w życiu narodu jest rodzina, że ona jest podstawą państwowego bytu. W całej swej twórczości Wyspiański żywił wielki kult dla macierzyństwa, ale najwspanialszym tego wyrazem właśnie epizod w „Wyzwoleniu", gdy na scenie krakowskiego teatru

Gwiazda zeszła i świeci
nad kolebką dziecięcą
nad miłością zabłysła matczyną.
Światło błysło stuleci,
radość nocy tej święcą:
Gwiazda zeszła nad ŚWIĘTĄ
RODZINĄ.

„Koniec memu błąkaniu, koniec mojej udręce" uświadamia sobie Konrad, w strzeżeniu domowego ogniska widząc zbliżające się zmartwychwstanie.

Wspomniany tu epizod z „Wyzwolenia", poświęcony nocy wigilijnej jest najpiękniej i najściślej związany z deskami sceny krakowskiego teatru. Epizod ten ma równocześnie doniosłe znaczenie proroctwa i wskazań dla narodu.

Sztuką teatralną, poświęconą Bożemu Narodzeniu, która równocześnie stała się modlitwą o wolność Polski oraz aktualną kroniką kolejnych przemian losu państwowego



Krowoderskie zuchy (ze sztuki Turskiego) śpiewają kolendę przy szopce.



Anioł (Surzyński) prowadzi Marję (T. Koronkiewicz) z Józefem (Wybrański) do Betleem. Scena z „Pastorałki" L. Schillera.

POEZJA ZIMY...
GARMISCH PARTENKIRCHEN. Fot. dr. P. Wolff.



bytu, jest „Betlejem Polskie“ Lucjana Rydla. Od roku 1905 wznawiane było co rok w teatrze krakowskim i zawsze wzruszało piękną robotą literacką, nastrojem i uczuciem rodzinnem i patrjotycznem, którem nabrzmiałe są wszystkie sceny rydlowskich jasełek, a zwłaszcza odsłona ostatnia, gdy przedstawiciele całej Polski historycznej i współczesnej wędrują do szopki na błoniach krakowskich, by prosić Boże Dziecię — dawniej o wolność, a później o błogosławieństwo dla wolnej już Ojczyzny.

Tekst tej odsłony zmieniał się niejednokrotnie, w r. 1918 zaktualizował go sam autor, pisząc w kancelarji dyrektora teatru, na wstrząsającą wieść o pokoju brzeskim, płomienny wiersz dla unity podlaskiego, oskarżający krzywdzicieli Polski. Późniejsze przeróbki wychodziły kolejno zpod pióra M. Szukiewicza,. E. Leszczyńskiego, J. Wiśniowskiego i A. Waśkowskiego.

Przed kilku laty próbowano zastąpić w Krakowie jasełka rydlowskie „Pastorałką“ L. Schillera, nadwyraz piękną. Ale nie miała powodzenia. Zresztą nie zdobyła go i we Lwowie. Publiczność wolała „Betlejem Polskie“. I choć obecnie krakowski teatr miejski nie wznawia już jasełek Rydla, tłumy ciągną na przedstawienia scen amatorskich.

Przez scenę krakowskiego teatru przeszło pozatem kilka wybitnych dzieł, w których motywy wigilijne. względnie obrzędowości świąt Bożego Narodzenia odgrywają ważną rolę. Wystarczy wspomnieć tu kilka sztuk polskich, jak przedewszystkiem „Dziadów“ część III, „Złotą czaszkę“ Słowackiego, „Turonia“ Stefana Żeromskiego, „Ich czworo“ Zapolskiej.

Pełną nastroju jest scena ze „Złotej Czaszki“, gdy pan strażnik krzemieniecki zbiera obok siebie dziewczęta i uczy je śpiewać kolendy. Podobnie, jak epizod wigilijny w „Wyzwoleniu“, zrodziło osobiste przeżycie i wspomnienie Wyspiańskiego, tak i epizod ze „Złotej Czaszki“ oparty jest na autentycznem wspomnieniu, a wyczarowany tęsknotą, gdy poeta na obczyźnie tęsknił za „jasną kolendą w przyćmionej piekarni“. Kolenda Słowackiego jest doskonale stylizowana na utwór XVII wieku.

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes;

Nad sianem, nad żłóbeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.

Przyleciały wróbelki
Od Panny Zbawicielki
Cantantes;

Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes;

Puchu wzięła troszeczkę
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;

Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

W bieżącym sezonie grane są „Krowoderskie zuchy“ Turskiego, przypominające zwyczaje świąteczne dawnych przedmieść Krakowa.

(swb.)

CZŁOWIEK W WALCE Z CZASEM I PRZESTRZENIĄ.

ZDOBYWCY OCEANÓW



Motor „Wright" samolotu, na którym Karol Lindbergh przeleciał przez Atlantyk.



Model żaglowca z r. 1723 „Burford".

Ongiś, przed wiekami, kiedy człowiek zaledwie odróżniał się od otaczających go zwierząt i kiedy jedynym celem jego była walka o życie i pożywienie, przeszkodą w zaspakajaniu jego instynktów typowego drapieżcy był mu niejednokronie element, który pokrywał naówczas większą część kuli ziemskiej i który dziś zowiemy „wodą". Rzecz prosta, przeszkoda ta. nie była zupełnie nie do pokonania i przykład zwierząt pouczał. że przy pewnem ułożeniu głowy i tułowia oraz odpowiednich poruszeniach odnóży można się utrzymać na jej powierzchni, a nawet posuwać się naprzód. I nie ulega wątpliwości, że nasi ojcowie przebywali przestrzenie wodne, pływając, jak i inne zwierzęta, z którymi żyli w tych samych warunkach. Rozum człowieka już bardzo wcześnie nakazał mu jednak szukać innych sposobów utrzymywania się na wodzie, a „żyłka" wynalazcza sprawiła, że problem żeglugi interesował go już tysiące lat temu. Pobudką do zajęcia się nim były zarówno złe warunki życia, jak i dążność do poruszania się swobodnie nie tylko na ziemi, lecz i na wodzie. Z czasem wyprawy, przedsiębrane w celach łupieskich, przekształciły się w wyprawy handlowe. Ponieważ jednak praojcowie nasi wybierali się po złoto lub drogocenne korzenie w dalekie kraje, wędrówki po morzu otaczał urok tajemniczości, dzięki któremu zapominano o poziomych ściśle praktycznych ich celach, a uważano je za przedsięwzięcia o charakterze idealnym.

Organizowanie wypraw na morze i ich wyniki musiały pogłębić wiadomości mieszkańców wybrzeży, a że w miarę pogłębiania się tych wiadomości rosły i potrzeby, rozwój kultury poszczególnych szczepów i narodów szedł równolegle z ekspansją nie tylko na lądzie, ale i na morzu. Dla ludzi, przekonanych o wyższości rasy białej nad innymi, dzieje kultury ograniczają się do tego, co stworzyły plemiona, zamieszkujące Europę i wybrzeża morza Śródziemnego. Nie należy jednak zapominać, że w czasie, kiedy powstawała kultura egipska, a później helleńska, na Dalekim Wschodzie, a także na drugiej półkuli ziemskiej istniały państwa, których cywilizacja stała bardzo wysoko, a które pozostały dla nas na zawsze obcemi. Co więcej, kultura Wschodu oparła się do dzisiejszego dnia wpływom Europy, a Chińczycy i Japończycy słusznie chlubić się mogą, że w wielu dziedzinach posiadają wiadomości o tysiące lat starsze od naszych. Odnosi się to i do sztuki żeglowania, sztuki ujarzmiania mórz. Kiedy Wenecjanin Marco Polo (1256—1323) opowiadał swoim ziomkom po powrocie z długiej wyprawy na Wschód, że chińskie dżonki są pod każdym względem lepszymi okrętami od weneckich statków ówczesnych, wyśmiano go. A kiedy utrzyutrzymywał, że można nimi lepiej manewrować, że posiadają one na przodzie i w tyle nieprzepuszczalne komory i że wskutek tego nie mogą tonąć, okrzyczano go jako kłamcę i oszusta. A jednak dziś wiemy, że mówił prawdę. Przykład ten świadczy z jednej strony o bezgranicznej zarozumiałości mieszkańców Europy, z drugiej zaś o dawnych bardzo zaczątkach kultury Wschodu, która wyprzedziła pod wieloma względami naszą o setki lat



Łódź Wikingów z IV w. po Chr. według modelu w „Deutsches Museum" w Monachjum.

Na chwałę narodów europejskich powiedzieć jednak można, że odznaczały się one zawsze wielką aktywnością. Cywilizacje Wschodu popadły z czasem jakby w letarg, który umożliwił w ostatnim wieku nie tylko wyrównanie, ale i zwycięstwo Europy. Nie ulega jednak wątpliwości, że mieszkańcy wschodniej i południowej Azji dotarli do daleko położonych wysp na długi czas przedtem, nim Europejczycy nauczyli się sztuki żeglowania. Skąd przybył właściwie pierwszy kompas, który w czternastym wieku sprowadził taki przewrót w nawigacji, jeśli nie ze Wschodu? Wszystko przemawia za tem, że miejscem powstania jego były Chiny. O ile słuszność wymaga, aby mądrym mieszkańcom Wschodu przyznać palmę pierwszeństwa, jako żeglarzom i handlarzom, to jednak Zachód szedł w tej dziedzinie własnemi drogami, spóźniając się tylko w pierwszych etapach.

Pierwszymi odkrywcami naszego świata byli właściwie starożytni Egipcjanie. Przyświecające im cele były wprawdzie natury bardzo prozaicznej; chodziło bowiem o zdobycie pewnych surowców w drodze handlu z obcemi plemionami bądź co bądź jednak zorganizowane przez nich wyprawy morskie świadczą pochlebnie o ich odwadze i przedsiębiorczości. Egipcjanie stworzyli również pojęcie horyzontu, tego wielkiego kręgu, który na morzu i na pustyni zdaje się stanowić granicę między niebem a wodą względnie lądem, nazwawszy go od bożka Horusa, egipskiego Apollina. Fenicjanie, jako typowi handlarze wodni starożytności urządzali również bardzo dalekie wyprawy i budowali w tym celu okręty, różniące się zasadniczo od niezgrabnych statków Babilończyków, czy też Egipcjan. Mamy dowody, że zapędzali się w swoich wyprawach daleko poza Słupy Herkulesa, aż do Anglji i na Morze Niemieckie oraz Bałtyckie. Bałtyk musiał być naówczas prawdziwą skarbnicą dla odważnych handlarzy Na wybrzeżach jego znajdywano bowiem bursztyn, przy pomocy którego damy rzymskie farbowały sobie włosy. A skoro raz weszły w modę rude włosy, używanie bursztynu stało się nieodzowną potrzebą, a droga morska z Bałtyku na południe jedną z najbardziej uczęszczanych dróg handlowych. Podobnie rzecz się miała w trzy tysiące lat później z perłami, za któremi w pogoni biały człowiek zapuszczał się w najodleglejsze zakątki oceanu Spokojnego.



Żaglowiec „Santa Maria" Krzysztofa Kolumba z pierwszej wyprawy odkrywczej. Rekonstrukcja z wystawy iberyjsko-amerykańskiej w Sewilli w roku 1929.

Rzecz prosta, że Fenicjanie ważyli się nawet na wyprawy jeszcze bardziej ryzykowne Wiadomo, że na zlecenie króla Nechona flota fenicka dotarła do Przylądka Dobrej Nadziei, a żeglarze feniccy oglądali Górę Stołową na długie wieki przed Vasco da Gamą i jego towarzyszami. Kartagińczycy, którzy byli fenickimi kolonistami, zbadali wybrzeża Afryki aż do Przylądka Blanco i założyli liczne stacje handlowe na wyspach Zielonego Przylądka na tysiąc siedemset lat przed zjawieniem się Portugalczyków.

Statki, na których urządzano te dalekie wyprawy, poruszano z pomocą wioseł. Ten system żeglowania był bardzo uciążliwy, gdyż wiosła, posuwające okręt naprzód, stawały się bezużyteczne podczas burzy, a obsługa ich wymagała zawsze wyćwiczonej załogi. Z jakiemi trudnościami musiano walczyć świadczy fakt, że na biremach, a więc galerach, poruszanych tylko dwoma rzędami wioseł, były one tak ciężkie, że do obsługi jednego z nich potrzeba było aż pięciu ludzi. Dlatego też wiadomości o olbrzymich okrętach egipskich, lub rzymskich należy uważać za przesadne.

W wczesnem średniowieczu, a więc w okresie, kiedy w sztuce żeglowania od kilku stuleci panował właściwie zupełny zastój, nie mógł przeciętny armator zdobyć się na statek trzydziestotonnowy. Notatki o statkach pojemności trzydziestu tysięcy tonn, a więc o takich przedwczesnych dreadnoughtach, obliczone były zatem na naiwność czytelników i słuchaczy. Świadczą o tem pozostałości po dawnych dokach okrętowych, świadczy również i stan dawnych portów rzymskich, których wygląd przemawia za tem, że pomieścić mogły okręty najwyżej na 32 metry długie. A przecież sława statków Nerona, lub Kaliguli przetrwała do naszych czasów!

Wielkość okrętów nie odgrywała jednak w owych czasach większej roli i nie przeszkadzała im w wyprawach wojennych

Powyżej od lewej: Wielcy odkrywcy: Krzysztof Kolumb i Vasco da Gama.

i handlowych, których śmiałość może dziś budzić bezwzględny podziw. Człowiek czuł się na ówczesnych łupinach, nazwanych okrętami, zupełnie pewny, mimo, że budowa ich uniemożliwiała manewrowanie, a od załogi wymagała zrzeczenia się zgóry najprymitywniejszych wygód. Już w IX, względnie X wieku naszej ery porywają się Wikingowie na zdobycie wielkiego morza, oceanu Atlantyckiego, przedostając się do Labradoru i rozpoczynając tam walkę z dzikimi, której wynikiem było odepchnięcie ludności tubylczej od wybrzeży. W porównaniu z okrętami rzymskimi i fenickimi były to stateczki bardzo szybkie, nic też dziwnego, że niektóre „sagi" wspominają o bohaterach, którzy podróż z Anglji do Danji odbyli w ciągu trzech dni i trzech nocy, a przestrzeń z Bergen w Norwegji do przylądka Farewell w Grenlandji w ciągu dni sześciu. Był to rekord nawet w porównaniu z naszymi czasami, jeśli się weźmie pod uwagę, że mały parowiec potrzebuje na odbycie drogi z Kopenhagi do Julianahaab osiem dni czasu. Gdybyśmy nawet opisy średniowiecznych sprawozdawców uważali za przesadne i czasokres, podany przez nich podwoili, to jednak musimy przyjść do wniosku, że wcześni żeglarze Północy stali znacznie wyżej od żeglarzy morza Śródziemnego starożytności. To pewne, że Wikingowie znali sztukę „krzyżowania", t. j. posuwania się w linji zygzakowatej, która pozwala przeciwnemu wiatrowi przez zmianę kursu z lewego na prawy i odwrotnie cofać okręt nieco do boku i zmniejsza dzięki odpowiednim ruchom steru kąt między dotychczasowym a nowym kursem. Ale nie tylko zewnętrzny wygląd okrętów sprawił, że Wikingowie mogli porwać się na przebycie oceanu Atlantyckiego. Nie ulega wątpliwości, że ich materjał ludzki stał w porównaniu z innymi narodami znacznie wyżej, jeśli chodzi o wytrzymałość, trzeźwość, karność i zamiłowanie czystości. Co więcej, okręt był dla żeglarzy Północy tem, czem koń dla Hunów i Tatarów, którzy podbili cały Wschód Europy z początkiem średniowiecza. I jeśli odkrycie Ameryki przez Wikingów około 1000 r. poszło w zapomnienie, to wina leży w ciągłych walkach rodowych i typowych „zajazdach", których terenem były ich osady na Labradorze i Grenlandji. I zapewne jakaś wojna domowa, a nie napad Eskimosów był powodem, że ta pierwsza, zakrojona na wielką skalę i trwająca 400 lat, próba osiedlenia się w Ameryce, dobiegła kresu. W 1410 r. wrócił ostatni statek Wikingów z Grenlandji do Norwegji, pozostawiając na pastwę losu tę kwitnącą kolonję z jej czterdziestu kościołami, katedrą, licznymi klasztorami i setkami zagród chłopskich, a już w 1585 r., kiedy Davis opłynął Grenlandję, nie znalazł na niej śladów białego człowieka. Zniknął czworokątny żagiel i głowa smoka na statkach Wikingów, a miejsce ich zajęły z powrotem prymitywne kajaki Eskimosów.

Dla mieszkańców morza Śródziemnego, a także dla Hiszpanów i Portugalczyków, zdobycie oceanu Atlantyckiego nie stanowiło z początku ani kwestji życia, ani zamożności. Przewrót, jaki wywołało z końcem czternastego stulecia wynalezienie prochu i za-

Poniżej: Zeglarska mapa świata z roku 1556, wykonana przez kartografa Baptystę Agnese, należy do nielicznych zabytków kartograficznych tego czasu.





Najszybszym parowcem śrubowym w połowie XIX wieku był angielski „Great Eastern"

stąpienie wioseł na okrętach przez żagle, dały im jednak w ręce środki, którymi nie rozporządzali ich przedsiębiorczy przodkowie. I chociaż wielkość okrętów nie zmieniła się, zmieniły się warunki pracy załogi wskutek stworzenia nowego oblinowania żagli i możność zabierania na statki większego ładunku. Z chwilą odkrycia Azorów i Wysp Zielonego Przylądka, dokładnego ich zbadania oraz dotarcia do Przylądka Dobrej Nadziei przez Bartłomieja Diaza w 1488 r., droga do Indyj stała otworem. W jedenaście lat później zawinęły do portu w Kalkucie pierwsze 250—400 tonnowe okręty portugalskie pod wodzą Vasco da Gamy. Rozpoczęła się era wielkich odkryć geograficznych, której następstwem było opanowanie Atlantyku i drugiej półkuli przez białego człowieka.

Mówiąc o odkryciach geograficznych i zdobyciu Atlantyku, musi się na pierwszem miejscu wymienić Kolumba, albowiem okoliczności, w jakich odbyła się jego wyprawa, są naprawdę niezwykłe. W czasach, kiedy już nikt z ludzi wykształconych w Europie nie wierzył, że ziamia jest płaska, kiedy panujący i warstwy oświecone były rzec można „nastawione" na geografję i każdy człowiek idei mógł liczyć na chętnych i pojętnych słuchaczy, w czasach, kiedy kupiectwo nie skąpiło kredytów na przedsięwzięcia ryzykowne, ale wróżące dobre zyski — przychodzi do skutku najdonioślejsza wyprawa odkrywcza, wyposażona w śmiesznie małe środki. Wydaje się dziś rzeczą niezrozumiałą, dlaczego Vasco da Gama wybrał się do Indyj na czterech nowych, specjalnie w tym celu wybudowanych okrętach, dlaczego Magalhaes otrzymał kredyty w pożądanej wysokości u jednej z najpoważniejszych firm Antwerpji, a Kolumb z niesłychanym trudem wyekwipował na swoją wyprawę trzy małe stateczki, z których największa „Santa Marja" miała 40 metrów długości, 8 szerokości, sto tonn pojemności i liczyła wszystkiego 52 ludzi załogi. Nie można jednak zapominać, że zarówno Vasco da Gama, jak Magalhaes i inni odkrywcy byli doświadczonymi żeglarzami, którzy wiedzieli, do czego dążą i co mogą obiecywać swoim armatorom; natomiast Kolumb wspominał o miljonach, w które nikt nie wierzył i sam nie będąc fachowcem, wymagał zaufania, którem się nie cieszył. I prawdę mówiąc, współcześni mieli rację z swego punktu widzenia, gdy zarówno Vasco da Gama, jak Magalhaes znaleźli to, czego szukali, podczas gdy Kolumb wrócił, przebąkując niewyraźnie o istnieniu nowego kontynentu, który, na nieszczęście, nie budził naówczas, żadnego zainteresowania.

Nie ulega wątpliwości że znaczenie odkrycia Kolumba wzrosło jednak już w następnych dziesiątkach lat i umożliwiło Hiszpanom mocarstwowe rozbudowanie państwa, a w narodach sąsiednich obudziło zazdrość i chęć szukania szczęścia na drugiej półkuli. Dopiero jednak po klęsce Wielkiej Armady, Anglja i Stany Holenderskie mogły przystąpić do walki o Atlantyk przez stworzenie właściwej marynarki wojennej, przeznaczonej do obrony statków handlowych. Floty handlowe rosły też z każdym dziesiątkiem lat i wkońcu ilościowo zaczęły górować nad flotami, złożonemi ze statków wojennych. W siedemnastym i osiemnastym stuleciu wszedł w życie potęg morskich nowy czynnik: szybkość. Straty zależały teraz od kilku godzin, które można było zyskać kosztem dwóch lub trzech nowych żagli. Kto pierwszy przybył z ładunkiem z Ameryki, ten czerpał większe zyski. Dla innych pozostawały resztki. To też całą energję, którą zużytkowywano dawniej na siłę i ciężar kadłubów okrętowych, mających stanowić oparcie dla dział, zmieniano teraz na to, aby zadziwić świat nowym typem statku handlowego, który służyć miał dwóm celom, punktualności i szybkości. I w ten sposób powstał żaglowiec handlowy z jego zawiłym systemem lin i drabinek sznurowych.

Z chwilą, kiedy okazało się, jak wielkiem dobrodziejstwem dla kraju jest możność rozporządzania surowcami, rozpoczęła się rywalizacja między państwami morskiemi i Atlantyk stał się widownią krwawych bitew, staczanych między Anglikami, Francuzami, Hiszpanami i Holendrami. Czasami była to walka na śmierć i życie, jak za panowania Napoleona. Jeśli Anglja stała się wkońcu panią Atlantyku i innych mórz, to zawdzięcza to z jednej strony fachowym i militarnym zdolnościom swoich marynarzy, z drugiej naukowemu ograniczeniu Wielkiego Korsykanina, który Robertowi Fultonowi, proponującemu zbudowanie pierwszej fregaty, poruszanej parą, odpowiedział dosłownie: „Pańska dymiąca beczka nie będzie miała nigdy praktycznego zastosowania, jako statek wojenny". A jednak w 1807 r. statek Fultona „Clermont" z maszyną parową, wbudowaną w kadłub amerykańskiego okrętu, odbył pierwszą podróż z Nowego Jorku do Albany, a w krótki czas później popłynął w jego ślady drugi statek parowy „Feniks". Mimo wszystko niechęć do poruszania się zapomocą pary utrzymywała się jeszcze przez czas dłuższy i dopiero w 1827 r. przebył Atlantyk pierwszy statek parowy „Curaçao". Fachowcy z kół marynarzy byli równie przeciwni wprowadzeniu parowców, jak i kapitanowie i właściciele statków żaglowych, robiący dobre interesy. Kiedy do tego kilku szalonych inżynierów ogłosiło, że można okręty budować z żelaza, przyjęto wiadomość tę ze śmiechem. Mimo to jednak już w dziesięć lat później spuszczono na wodę pierwszy parowiec żelazny "Aaron Marby", który udowodnił, że żelazo pływać może nie gorzej, niż drzewo.

Już w pierwszej połowie ubiegłego stule-

cia, wobec silnego rozwoju stosunków handlowych i wzajemnej konkurencji, dążenia wszystkich armatorów szły w kierunku zbudowania szybkich okrętów o wielkich możliwościach ładunkowych. I zbudowano klipery, które w krótkim czasie opanowały Atlantyk, rozwijając szybkość przeciętną do osiemnastu węzłów i więcej. Amerykański „Sovereign of the Seas" z 1857 roku uchodził przez pewien czas za niedościgniony, dopóki zazdrosna Anglja nie zbudowała kliperów jeszcze szybszych i mogących się poszczycić jeszcze piękniejszemi rekordami.

Zbudowanie „Great Eastern" przez Isambarda Kingdoma Brunela było w tej dziedzinie wydarzeniem prawie epokowem. Ten kolos morski, który panował nad Atlantykiem prawie przez czterdzieści lat, zdawał się być ostatnim wyrazem techniki; a jednak, rzecz ciekawa, właściciele jego ponosili same klęski finansowe. Przyczyną tego był ogrom statku. Nigdy nie znalazło się tyle towaru, aby zapełnić przeznaczone dla niego komory, nigdy nie było tylu pasażerów, aby przejazd ich dostatecznie się opłacał. Jakże dziwnem wydaje się to dziś, kiedy statków, wielkości „Great Eastern", istnieją całe tuziny, które umożliwiają wygodną i bezpieczną podróż z Europy do Ameryki tysiącom ludzi. Żaden z tych olbrzymów nie jest jednak i dziś rentownem przedsiębiorstwem. Mają one raczej znaczenie prestiżowe i dowodzą ostatecznego zwycięstwa człowieka nad oceanem.

Nie minęło jeszcze sto lat od czasu przejazdu pierwszego parowca przez Atlantyk, a już samolot, pilotowany przez Lindbergha, przeleciał z Ameryki do Europy. Wyprzedził go zaledwie o kilka lat przelot do Ameryki balonu Zeppelina, który rozwiązał w praktyce problem poruszania się w powietrzu na aparatach od niego lżejszych. Parowiec, który wyparł zupełnie statek żaglowy i objął w posiadanie oceany, znalazł rywala, który łatwo może mu odebrać panowanie nad morzami, tak, jak autobus zagraża już w wielu krajach egzystencji wozów, poruszających się na szynach. Narazie wielu ludziom wydaje się to nieprawdopodobnem. Człowiek opanował morze i okrążył kulę ziemską na okrętach. Pojęcie oceanu i okrętu były dla nas dotąd czemś nierozłącznem. A jednak trzeba się liczyć z tem, że okręty zostaną wyparte przez statki powietrzne. Jeszcze niedawno przelot Lindbergha nad Atlantykiem wydawał się współczesnym niesłychanym triumfem, a dziś liczba aeroplanów, które przebyły tę przestrzeń, jest już tak duża, że nazwiska lotników, idących w jego ślady, nie budzą nawet zainteresowania.

Klipery zarabiały dużo pieniędzy, kiedy żądni złota awanturnicy jeździli szukać szczęścia z Nowego Jorku do Kalifornji wokół Przylądka Horn. Podróż trwała wówczas cztery miesiące. Dziś istnieje regularna komunikacja lotnicza między Nowym Jorkiem i Los Angeles, a przelot trwa tylko godzin osiemnaście. Zapewne przyjdzie czas, kiedy przez Atlantyk podróżować się będzie tylko aeroplanem, a wtedy skończy się panowanie okrętów na morzu. Statki będą odgrywać jeszcze pewien czas rolę narzędzi wojny, ale że narzędzia te nie przyniosą rozstrzygnięcia, dowodzi przykład ostatniej wojny abisyńskiej, w której Włosi osiągnęli zwycięstwo wbrew całej angielskiej flocie. Odgrywać będą również pewną rolę przy przewożeniu towarów. Wielkie okręty naszych czasów podzielić jednak muszą los „Great Eastern", a walki o zdobycie Błękitnej Wstęgi Atlantyku należeć będą do przeszłości. — Skończy się żegluga przez Atlantyk w wielkim stylu, jaka dziś istnieje. Cieśnina Magellana opustoszeje, jak ongiś przed jej odkryciem. Miasta, jak Kapstadt, które rozwój zawdzięczają swemu położeniu na drodze do Indyj, zmienią się w małe osady, a ich porty upodobnią się do portów starożytnego Rzymu. Brzmi to może trochę groteskowo, ale przykład Konstantynopola i Petersburga, których porty po wielkiej wojnie zamarły, daje dużo do myślenia, gdyż komunikacja lotnicza wymagać będzie innych punktów oparcia. I w ten sposób skończy się jeden z najbardziej interesujących eksperymentów ludzkości, próba zbliżenia narodów w drodze komunikacji okrętowej, która dziś stoi u szczytu.

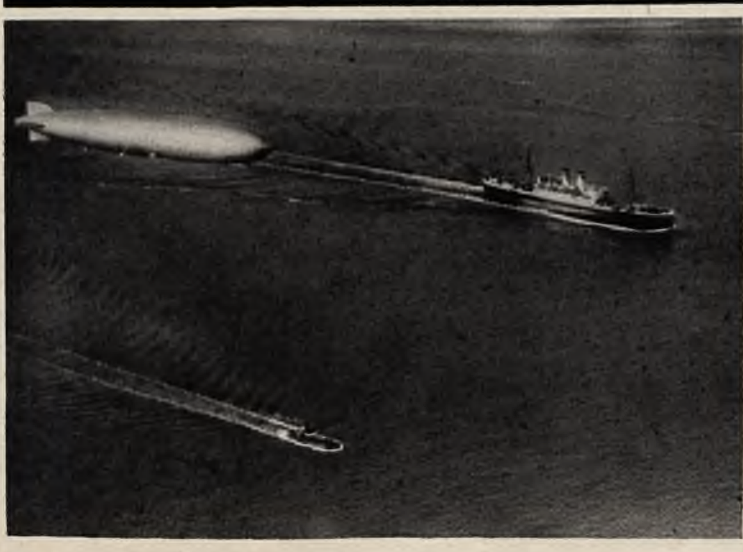
Ludziom jutra przyświecać mogą te same cele; ale dobór środków do ich urzeczywistnienia będzie napewno inny. Dziś zdaje się nie ulegać wątpliwości, że opanowanie czasu i przestrzeni uważać będą przyszłe pokolenia za przywilej każdego przeciętnego człowieka. Przez siedem tysięcy lat ludzkość kusiła się o opanowanie mórz i dziś włada niem bezspornie. Ale panowanie na oceanach nie jest równoznaczne ze zdobyciem przestrzeni; stanowi tylko wypełnienie części zadania. Odkrycia geograficzne dobiegają kresu, kończy się również udział w nich okrętów, które wkrótce uważać będziemy za przeżytek. Ocean Atlantycki, który stanowił w ciągu wieków przestrzeń niezbadaną i tajemniczą, nie może już dzielić półkul ziemskich, połączonych licznymi kablami i linjami lotniczemi. Przyszłość okaże, czy usunięcie tej wielkiej wodnej przeszkody na drodze zbliżenia narodów zapewni następnym pokoleniom upragniony dobrobyt, czy też stanie się przyczyną nowych walk, prowadzonych środkami, przed którymi nikt już uciec nie potrafi.

W. R.

W kole: Pierwszy człowiek, który samotnie przebył na samolocie Atlantyk, płk. Karol Lindhbergh.



Poniżej od lewej: „Zeppelin" oraz parowiec linji Hapag „New York" spotykają się na drodze między Europą a Ameryką. — Potężny polski transatlantyk M-S „Batory" na tle gigantów nowojorskich.





Życzenia gwiazd polskiej sceny



Ola Obarska.
Fot. Forbert — Warszawa.

Z zabiegu Beebna
idzie na Gwiazdkę Atrymatów
szyldy z wielkiej rewji
„Lala" się gwiazdkowe
życzenia
Ola Obarska



Marja Gorczyńska.
Fot. Bil — Warszawa.

Spędzam święta u najdroższej mi istoty na świecie, u mojej matki; życząc wszystkim czytelnikom „Asa" rówież miłych świąt.
Marja Gorczyńska



Antoni Fertner.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

Napisać coś wesołego przed świętami? wykluczone. — Może po świętach. Jednemu na dowcip działa ser, drugiemu musztarda, a mnie orzechy. Więc może po świętach
Antoni Fertner



Jerzy Leszczyński.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

My aktorzy, nie mamy nadewszystko spokoju. Właśnie dla tego Wam grać będziemy przez całe Święta. Szczęśliwi Ci, że spokojnie będą mogli popić!
Leszczyński



Marja Malicka i Zbyszko Sawan. Forbert, Warszawa.

Święta spędzimy bardzo rozkosznie. Pojedziemy do St. Moritz, spadniemy na Riwierę, może nawet będziemy na klubie pani Simpson .... ale tylko w marzeniach ....
No tak, przecież przez całe święta gramy po dwa razy dziennie.
Z tych wymarzonych St. Moritzów przesyłamy „Redakcji i Czytelnikom „Asa" serdeczne życzenia świąteczne.
Marja Malicka, Zbyszko Sawan



Marjusz Maszyński.
Fot. Jan Rychter — Kraków.

Podobno czytelników Asa czeka na Gwiazdkę niespodzianka: oto As ma się odtąd pisać przez Z, a to dla uniknięcia ewentualnych pomyłek przy grze w karty.
Marjusz Maszyński
a przepraszam!:
Marjusz Masz



Na prawo: Władysław Grabowski.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

W tych miłych czasach gdy wszystko wszystkim się wiedzie — a życie płynie po różach, czegóż jeszcze życzyć? Humoru!
Wł. Grabowski



Mira Zimińska.
Fot. St. Brzozowski, Warszawa.

Jako Królowa Madagaskaru (moja ostatnia rola) — ofiarowuję na Gwiazdkę swemu ludowi upragnione kolonje: Madagaskar!
Mira Zimińska



W kole: Jan Kurnakowicz.

Król przyrzekł tym wobec tego Pięknym Czytelniczkom pozostał .... As!
J. Kurnakowicz

Dużo - dużo radosnych uśmiechów Czytelnikom „Asa" przesyła
Elżbieta Barszczewska.



Obok, na prawo: Elżbieta Barszczewska.
Fot. Van Dyck — Warszawa.

Miłemu Asowi zdradzam tajemnicę: moja tegoroczna Gwiazdka będzie pierwszą moją gwiazdką jako mężatki. Wszystkim mężatkom życzę tyle szczęścia ile sama przeżyję.
Lucyna Szczepańska



W kole: Lucyna Szczepańska.
Fot. Forbert — Warszawa.

★ ★ ★



Wywiad z Aniołkiem

Gdzież szukać dzisiaj weselszego nastroju, jak nie w... niebie, w którem, choć panuje wieczne bezrobocie, nikt nie zbiera podatków na „Pomoc zimową".

Bezrobotnego najtrudniej zastać w domu, bo zmęczony szukaniem posady, odpoczywa najczęściej w knajpce. Przypadkiem dowiedziałem się, że aniołek-referent od podarunków gwiazdkowych nie udał się jeszcze do baru niebieskiego; udzieli więc napewno krótkiego wywiadu....



Smoking dla p. Stasi...

Wprowadzono mnie do olbrzymiej, jak przed spaleniem Crystal Palace, sali, zastawionej mnóstwem najrozmaitszych przedmiotów. — Witam — zawołał gospodarz, stojący na najwyższym szczeblu ogromnej drabiny i czemprędzej spłynął lotem szybowym na wspaniały fotel.

— Ten fotel, to wprawdzie tylko model próbny — usprawiedliwiał się — dla innych dwunastu, przygotowanych na gwiazdkę dla ministrów, aby mogli w nich drzemać spokojnie w ciągu przyszłego roku. Do jednego z nich będzie przymocowany automatyczny budzik, nastawiony stale na godzinę ósmą.

— Zupełnie słusznie — przytaknąłem — a właśnie celem mej nagłej, a niespodziewanej wizyty jest...

— Ależ wiem doskonale, jak i to, że każdy redaktor jest ciekawy, a ciekawość, to pierwszy stopień do....

— Tak jest, do wiedzy — proszę mi tylko powiedzieć, czy to wszystko jest dla Polaków przygotowane?

— To wy tam macie ładne wymagania nad Wisłą! Może kolonij się wam zachciewa? — zirytował się.

Gniew piękności szkodzi: wobec tego Aniołek, ujrzawszy swe oblicze w lustrze, wiernem, jak miłość Edwarda do pani Simpson, zmitygował swę oburzenie. Rozpoczęliśmy rozmowę swobodniejszą.

— Cóż to za napój w tym syfonie? — zdziwiłem się, dotykając olbrzymiej bani.

— To jest tylko skroplone, świeże powietrze według najnowszego wynalazku, specjalnie skondensowane, aby niem można było oczyścić atmosferę we wszystkich urzędach skarbowych!

— Wreszcie będzie miał minister skarbu spokój — a jest co dla pana Becka?

— Ma się rozumieć! Jak tylko otworzy tą tajemniczą skrzynkę, ujrzy jak na dłoni wszystkie Kohn-Schachty dyplomatyczne...

— Tak, tak! już czuć zdaleka gdańską oliwę....

— A dla zastępcy Russela na Polskę?

— Oto proszę: automatyczna powielarka; czekam tylko ,aż wasz akademik zmieni nazwisko na Zrzynałkowski!

— Co widzę! — dwie zaklejone koperty — pewnie najmilszy z upominków: forsa — co?

— Nie, to tylko bezpłatne bilety dla redakcji „Podpłomyka" na wycieczkę krajoznawczą do Sowietów.

— O! jest i kołyska z wmontowanym gramofonem...

— Dla Kiepurów!

— A „Marcyna" co dostanie?

— Lo Marcysi — pedział janioł — Ponbóg kazoł przyrychtować nanowszom łontografijom łod pona Nicia.

— Jakie ładne parasole — rzuciłem luźną uwagę.

— Co za parasole!... — to specjalne spadochrony dla pasażerów kolejki linowej...

— A na co ta kuchenka gazowa?

— Będzie służyć jako odgrzewaczka dowcipów dla „Wesołej Syreny", a mam i trochę pieprzu dla wróbelków, co siedzą na dachu!

— Rakietę dostanie pewnie Jędrzejowska?

— Nie, dla Jadzi mam ten kubek — Wielką Honorową Nagrodę Sportową. Rakieta tenisowa, to podarek dla... Krzywoszewskiego, a hulaj-noga dla... prof. Piaseckiego, aby choć na starość mogli zażywać rozkoszy sportu.

— A co z tym smokingiem?

— Przecież to strój wieczorowy dla naszej polskiej lekko-atletki panny Stasi W.

Wędrowaliśmy tak długo po olbrzymiej sali... w pewnej chwili zdziwiłem się niezmiernie, widząc czarny żałobny medal. Po kilku: hm-hm, dowiedziałem się, że może go dostać tylko nasz Komitet Olimpijski.

— Czy ciekaw jesteś działu zagranicznego? — zagadnął mnie już poufale Aniołek.

— Ma się rozumieć; tylko powiedz mi jeszcze, czy nie zapomniałeś w swej szczodrości o prezencie dla Pary... lewiczowej!

— Wprost przeciwnie: oto wyrok, mianujący ją referentką personalną w... piekle!

Zaraz w pobliżu poukładano praktyczne podarunki dla Hitlerowców, między któremi zauważyłem kilka „minjaturowych" krążowników po... 40.000 tonn, oraz wspaniałe etui z napisem: „Führerowi". Otwarłem je bez pytania: było puste!



Syfon z skondensowanem powietrzem oczyszcza atmosferę.

— Z tem mieliśmy największy kłopot—mówił Aniołek — nie wystarczyło czasu na przygotowanie cesarskiej korony; będzie musiał biedny czekać aż do przyszłej gwiazdki. Zato Francja dostanie kilka nowych gabinetów.. figur woskowych, zabarwionych na czerwono — ale któryś z nich wreszcie zbieleje ze strachu, gdy...

— O! proszę tylko tego nie mówić w złą godzinę, która właśnie bije dla rządu ludowego w Hiszpanji...

— Zaręczam, że się tam ta awantura prędko zakończy, bo już mam tu kilka „fajek pokoju"...

— Do czego służy ten miech?

— Przyda się Japończykom do podsycania ognia pod chińskim imbrykem...

— A wujcio Sam i ciocia Samica?

— Tym razem nic nadzwyczajnego: mostek z Miami do Hawany; tunelik z Chicago do Hollywood i tem podobne drobiazgi.

Tymczasem nadszedł Wieczór Wigilijny... Wśród słów pożegnania zdążyłem zadać Aniołkowi dwa ostatnie pytania:

— Co przyniesiesz Czytelnikowi „Asa"?

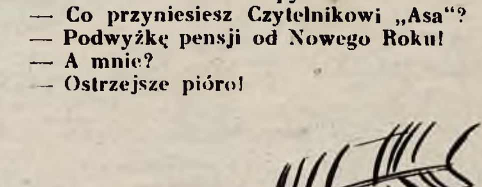
— Podwyżkę pensji od Nowego Roku!

— A mnie?

— Ostrzejsze pióro!



W tej kołysce dziecko zasypia „śpiewająco"!



Polska choinka ozdobiona polską ręką.



Tak rozpowszechniona dziś w Polsce choinka, ozdobiona cackami różnokolorowemi w dzień wigilijny przyszła do nas z Niemiec w połowie XVIII w. i zaaklimatyzowała się szybko w naszych zwyczajach i obrzędach w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Zwyczaj ten nie przedostał się jednak do Francji i Włoch, w Rosji sowieckiej był nawet zakazany i zmieniony w późniejszym okresie na noworoczną choinkę dla biednych dzieci, których tam miljony.

Nie mamy nic przeciwko wprowadzeniu do naszych zwyczajów choinki, aczkolwiek leśnicy nasi mogliby w tej sprawie wiele smutnego opowiedzieć.

Natomiast obowiązkiem naszym jest zwrócić uwagę, iż z tym zwyczajem niemieckim wszedł do Polski niemiecki i czeski towar. W Niemczech istnieje mnóstwo fabryk wyrobów papierowych ozdób choinkowych, zaś w Czechach rozwinął się przemysł szklany, eksportujący na cały świat znane, szklane kolorowe kulki i paciorki.

Niemieckie wyroby, sporządzane w miljonach szablonowych postaci aniołków i świętej Rodziny, znane są w każdym domu polskim, jak i również szklane czeskie choinkowe ozdoby, które powodują często w radosnym dniu świątecznym skaleczenia rączek naszych najukochańszych. Panie polskie już od dawna zrozumiały, że należy przeciwdziałać zalewającej nas szpetocie obcej, za którą płacimy miljony złotych i przeciwstawić ozdoby choinkowe wykonane w naszym zdobniczym charakterze, zrobione rękami polskiego rzemieślnika lub dzieci. Wysiłki w tym kierunku dają nierówne rezultaty. Okazuje się, iż najtrudniejszą sprawą jest w tej dziedzinie dobry smak i pomysłowość.

Krakowskie Towarzystwo popierania burs dla dziewcząt z pp. dyr Koperową i Dobrowolską na czele wystąpiło w tym roku do walki z obcą tandetą choinkową w sposób zorganizowany handlowo i artystycznie. Przy ul. Florjańskiej w domu Matejki otwarto w okresie świątecznym wystawę i sprzedaż przepięknych cacek choinkowych, wykonanych rękami polskich dzieci pod kierownictwem nauczycielek. Na wystawie znajdują się nader bogate sortymenty choinkowych cacek, wykonanych niezwykle pomysłowo. — Prym wiodą zwierzęta egzotyczne, wykonane z gufrowanej bibułki przez p. J. Giustiniani. Zwierzęta te świetne w charakterystyce i ruchu, nie ustępują drogim zagranicznym, wykonanym z pluszu. Cacka choinkowe wykonano pomysłowo w charakterze prawdziwie ludowym, z tą lekkością kompozycji, jaka cechuje Francuzów. A więc oglądamy dowcipne figury pegazów bibułkowych, jak i krakowskie pary taneczne i pocieszne figury z krakowskiej szopki. Jako materjał wykorzystano nawet szyszki, sklejone w fantastyczne postaci.

Dla wykonania kwiatów i gwiazd użyto najpiękniejszych wzorów łowickich, wycinanek, które zachwycają bogactwem ornamentalnych zestawień.

Wszystkie dzielnice Polski reprezentowane są na wystawie krakowskiej. A więc Podlasie dało hieratyczne tkaniny, Maków swą poezję hafciarską, Kaszuby bogactwo drobnej ceramiki, a Jaworów i Rabka swe tradycyjne zabawkarstwo, tak stare w swych wzorach, a jednak tak mile widziane przez nasze dzieci.

Powstanie tej wzorowej placówki artystycznej jest doprawdy pięknym obywatelskim czynem, przyczyniającym się nietylko do szerzenia polskiego piękna, ale też do walki z zalewającą nas od dziesiątek lat tandetą, która opanowała nasz rynek zabawkarski.

Kupujmy jedynie choinkowe ozdoby, stworzone przez ręce polskie! Usuńmy w kąt niebezpieczne szklane czeskie i niemieckie brzydactwa!

mdd.

Oryginalne są zwierzęta-zabawki z gufrowanej bibułki, kompozycji p. J. Giustiniani.



Oto stylizowany „pegaz", jedna z piękniejszych zabawek na wystawie w domu Matejki w Krakowie.



Powyżej: Egzotyczne zwierzaki, zrobione z szyszek, pomysłu p. J. Giustiniani.

Poniżej: Różne choinkowe ozdoby z papieru, szkła paciorków itd. odznaczają się oryginalnością i polskim charakterem.



ALFRED LUTWAK

NOWELA

FLIRT

— Niech pan sobie zbyt wiele nie wmawia. Powiedziałam — miły. „Miły" to znaczy dużo, a właściwie... nic.

— Paradoks. Brawo, panno Bronko!

— Skąd pan wie, że się tak nazywam! Zainteresowanie! Pochlebia mi to.

— Siedziałem w ogrodzie, gdy zobaczyłem panią po raz pierwszy. Szła pani koło płotu i nagle odwróciła pani głowę w moją stronę. Przez ułamek sekundy. I to wystarczyło, aby przez długi czas nie móc zapomnieć pani oczu. I czy pojmie pani rzecz śmieszną: nie zależało mi na pani nic, nie myślałem nawet o tem, by pójść, przemówić, poznać panią, a jednak... byłem zazdrosny. Poprostu wściekły, że jakiś inny mężczyzna podejdzie do pani, będzie się mógł przypatrywać jej poruszeniom, oczom, będzie miał możność słuchania pani słów.

— Czy można wiedzieć, co pan wtedy robił, gdy przeszłam?

— Ależ tak! Siedziałem chwilę i starałem się wywołać w imaginacji pani obraz, widziany tylko tak krótko. Jednak nie udało się. Wyczuwałem go raczej podświadomie i nie potrafiłem go nawet naszkicować w myślach. Dorabiałem fantazją, i otrzymałem portret inny. Zacząłem gwizdać...

— To świadczy o wzburzeniu.

— Przypuśćmy.

— A potem?

— Hm, potem... Poszedłem do kuchni po nóż. Tylko bez przerażenia! I powróciłem z nożem do ogrodu.

— Jak pan to dramatycznie opowiada. Literackie stopniowanie, gra na nerwach słuchacza.

— Dziękuję za uznanie.

— Proszę dalej, jestem szalenie zaciekawiona.

— Niebo było niebieskie, ani jednej chmurki, wiatr ruszał liśćmi warzyw na grządkach, kogut piał, słońce świeciło poprzez sztachety płotu i rzucało na trawnik podłużne smugi...

— Pan jest niemożliwy.

— Przepraszam stokrotnie.

— — — —

— Niech pani jeszcze raz wystawi język.

— Właśnie że nie chcę.

— A gdybym prosił?

— To dopiero nie!

— Może przejdziemy na ścieżkę. Na gościńcu taki kurz...

— Zgadzam się, jeśli pan wreszcie opowie, co było z tym nożem?

— Otóż... Opis ogrodu już był?

— Był.

— Idę więc z nożem...

— Słyszeliśmy.

— Plurale maiestaticum?

— Aha.

— Nóż błyszczy w słońcu złowrogo. Zbliżam się do grządki i... odrzynam kalarepę. Ogromnie lubię jeść surową młodą kalarepę; — skosztowała pani kiedy?

— Pan jest potwornie bezczelny. I co dalej?

— Odciąłem liście, siadłem w wyblakłym fotelu trzcinowym — widziała go pani w ogrodzie, czerwono lakierowany?

— Niestety nie zwróciłam uwagi.

— Więc usiadłem i... jadłem kalarepę. Cóż pani na to?

— Wstrętny cynizm.

— Nie, panno Bronko. To było — robienie sobie nazłość. Tłumienie w sobie zapomocą środków groteskowych rzeczy, których się boję. Nie chcę się zapoznać z ludźmi, gdyż przywiązuję się do nich zbyt łatwo i zbyt silnie. Idę za głęboko, jak powiada Schopenhauer, i to jest mój błąd.

— Patrzy pan teraz badawczo, z pewnem niezdecydowaniem, obawą... Otóż powiem panu, iż wiem, że Schopenhauer nie był ani malarzem, ani bokserem, ani wynalazcą roweru, lecz filozofem niemieckim. Zadowolony pan?

— Zachwycony. Żałuję już — że jadłem wtedy w ogrodzie kalarepę.

— Tak wartościowego komplementu nigdy jeszcze nie słyszałam!

— Tembardziej, że to nie był komplement. Jestem impertynencko szczery. Mówię to, co myślę...

— Zauważyłam to, panie... no, jak panu na imię...

— Kalasanty.

— Bez żartów. Bo będę panu naprawdę tak mówić.

— Proszę bardzo.

— Nie, wie pan, to jest niemożliwe... „panie Kalasanty"... Brrr... nie potrafiłabym tak pana nazywać... to jest tak.... sprzeczne z panem, tak... głupie...

— Pani się denerwuje.

— Ttak. Bo pan jest... wstrętny... paskudny... potworny...

— Czy dalszy ciąg nastąpi?

— Nie.

— To szkoda.

— Wielka. Niech mi pan przyniesie ten kwiat, tam, koło tego pnia...

— Nie.

— Zdumiewająca uprzejmość!

— Nie uznaję zasad towarzyskich.

— Ale jeśli proszę, może mi go pan przecież przynieść.

— Nie.

— W takim razie gniewamy się.

— Doskonale. Gniewamy się.

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— Pan jest paradny!

— Dlaczego...?

— Dlaczego? Już chociażby przez to zdumienie, z jakiem pan pyta. Usiadł pan na trawie i o nic się nie troszcząc, zostawia mnie pan na tem pustkowiu i zmusza mnie pan, abym pierwsza przemówiła.

— Może pani przecież iść do domu.

— Sama taki kawał? Zresztą nie mam ochoty odejść od pana, bo... pana lubię.

— To niech pani siądzie tu obok.

— Niezły pomysł.

— Bliżej.

— Nie.

— Nie?

— Nie. Ale wolno panu podać mi rękę. Lubię patrzyć na pana ręce. Jest w nich bardzo dużo wyrazu.

— Śliczny obraz Bronka...

— Co za „Bronka"? Kto panu pozwolił opuścić słowo „panna"?

— Mówię bez zastanowienia tak, jak mi się podoba.

— Słucham.

— Gdy byłem małym chłopcem, malowałem całemi godzinami, upływały mi na tem tygodnie, miesiące, pełne jesiennego deszczu. Potem przestałem. Stałem się bardziej krytyczny, nie zadawalniało mnie to, co tworzyłem. Ale czy uwierzy pani, pozostałem malarzem. Malarzem, który nie maluje. Komponuję obrazy w myślach, dobieram kolory, lecz nie mam siły na odtworzenie ich realnym rysunkiem. Gdybym potrafił...

— To co?

— Namalowałym tę polanę oświetloną do połowy słońcem, ten las zanurzony wierzchołkami w niebie. Na trawie leży kobieta taka, jak pani. Co za kontrast, jaka walka dwóch elementów: ciszy i krzyku. Na tle dzikiego krajobrazu — kultura. Na tle sielanki — niepokój.

— Niepokój? W czem?

— W pani oczach, w każdem poruszeniu, pełno tu ruchu, niespodzianki. Nie wyobrażam sobie pani śpiącej.

— Będę leżeć całkiem spokojnie. Mam przymknąć oczy? Będę słuchać, jak pan mówi. Może pan trzymać moją rękę, żebym odczuła, że pan jest naprawdę tu obok, bo inaczej mogłoby mi się zdawać, że to tylko... głośnik radjowy. Nie, tego nie chciałam... aby pan całował rękę. To właśnie nie całowanie lecz — dotyk. Dobrze mi tak z przymkniętemi oczami. Co pan teraz robi? Zdawało mi się, że się pan śmieje. Niech mi pan coś opowie o sobie...

— Boję się rozmów.

— Rozmów?

— Tak, boję się rozmów. Mam dziwną pamięć: wiersze i daty zapominam, ale to, co mówię do kogoś, i co do mnie ktoś mówi, to pozostaje we mnie na zawsze. Całą rozmowę prowadzoną z panią, notuję dokładnie, każdy akcent, każdy gest, jaki im towarzyszył. Niema pani pojęcia, jakie to straszne: przechodzić po latach przez miejsca, gdzie byłem razem z panią, i nagle... jakby to było nagrane na płytę gramofonową, słyszę na nowo całą rozmowę przeszłą, nieaktualną. Pani już dawno tu nie będzie, a ja przechodząc przez tą łąkę, będę zawsze słyszał te słowa: „to właściwie nie całowanie, lecz dotyk", będę miał złudzenie, że na pustej trawie widzę kolor pani sukni. Boję się tego. To jest okropne, wracać zawsze do przeszłości. Dlatego unikam ludzi, szczególnie tych, na których mogłoby mi zależeć. Dlaczego otwiera pani teraz oczy? Żeby zaznaczyć... Jaki wspaniały uśmiech. Oczy pani to właściwie milczenie, wyczekiwanie. Usta zawierają całą kokieterję, są wyzywające...

— Wyzywające? Co za ordynarne wyrażenie. Wypraszam sobie.

— Ale ja sobie z pani protestów nic nie robię. Potrafi pani wyrazić ustami ogromnie dużo: zamyślenie, drwiny, dąsanie się, bogatą skalę uśmiechów, od naiwnego począwszy, a kończąc na... wyzywającej kokieterji. Teraz pani powie, że jestem ordynarny. Proszę. Słucham.

— Podoba mi się pan...

— — — —

Dokończenie na str. 26-tej.

ZALOTNE OCZY...
CAROL HUGHES, GWIAZDA AMERYKAŃSKIEGO FILMU.



Dokończenie ze str. 24-tej.

— Chce mnie pan pocałować?
— Nie.
— — — —
— Bronka, śmiejesz się cudownie!
— — — —
— Gbur. Nie pozwalam mówić do mnie „ty"
— — — —
— Obrażony?
— — — —
— Wie pan, wydaje mi się jakbyśmy się już bardzo, bardzo długo znali... miesiące, lata. A właściwie... według zegarka... jeszcze dwie godziny temu... Niech pan s... rzy, czarne chmury! — będzie burza. Zauważył pan, jak się ochłodziło? — Trzeba będzie w drogę, bo zmokniemy. O, grzmi....
— Czuje pani? pada — —
— Pada...
— Za chwilę spadnie ulewa.
— O, błyska się. — — Idziemy. Ale szybko.
— Boi się pani?
— Nnnnie. Ale... nie lubię.
— Wspaniały ogień.
— Nono! Bez zachwytów. Chce pan, żeby we mnie uderzyło? Bo ja nie mam najmniejszej ochoty.
— Słyszy pani, jak szumią potoki? Pobiegniemy wdół... naprzełaj...
— Brrr jak ślisko! Niech mi pan poda rękę, bo upadnę.
— Doskonale pani biegnie.
— Taki deszcz!
— A teraz stop! Ubierze pani moją marynarkę, bo ulewa, a pani w lekkiej sukience.
— Nie chcę.
— Bunt?
— No zresztą...
— Do biegu gotowi — marsz!
— — — —
— — — —

Potok!
— Potok...
— Nie poto mówię, aby pan najflegmatyczniej pod słońcem powtarzał moje słowa. Ale trzeba zaradzić: jak tu przejść?!
— Istotnie. Trzeba.
— Dosyć żartów. Ulewa... grzmi... błyskawice... pełno tu wysokich drzew...
— Na dół biec niema sensu. Za daleko. Tu gdzieś blisko jest buda. W tył zwrot!
— Jaka buda?
— No taki kiosk. Ciastkarnia z lodami i wodą z sokiem malinowym, cytrynowym, pomarańczowym....
— Pan potrafi człowieka doprowadzić do pasji.
— Proszę się rozpłakać.
— Nie chcę!
No, to biegnijmy...
— Przemokłam do nitki.
— Oto tam dach. — —
— Nareszcie... Ale błyska...
— Siądźmy tutaj.
— Przy oknie? Zanic!
— Więc tu, w kącie. Ciemno, przeto efektowniej wypadnie światło błyskawic.
— Straszne... Jakgdyby jakiś ogromny czerwony reflektor naświetlił chmury... Nawet przez powieki przebija czerwień....
— Bronka...
— — — —
— — — —
— Ale pan całuje...
— Bronka... jesteś prześliczna...
— Przymknijmy oczy... Będziemy siedzieć nieruchomo i tylko słyszeć ulewę za oknami. Gdy się nie widzi, wtedy wszystkie szmery tak się wyolbrzymiają...
— — — —
— — — —
— — — —
— O czem pani myśli?
— O tem, że to „dziś" — to jest przygoda. Tak niewiele, a przecież... przygoda.
— Która minie z deszczem.
— I z każdym deszczem powróci...

250-LECIE BILARDU

Wśród powodzi różnych jubileuszy, warto wspomnieć o jubileuszu bilardu. Szczególnie w obecnej dobie, gdy niema prawie kawiarni lub restauracji, w którejby nie było tak zwanego automatycznego bilardu, dzieje jego zaciekawią zapewne szerokie rzesze Czytelników „Asa".

W roku 1674 wydał Karol Cotton książkę pod tytułem „Doskonały gracz". W książce tej autor nadmienia, że w niektórych wielkich miastach angielskich znajdują się w gospodach bilardy do użytku publicznego. Bilardy te, jak wspomina Cotton, cieszyły się bardzo wielkiem powodzeniem.

We Francji za panowania Ludwika XIV rozpowszechnił się bardzo zwyczaj grania w bilard a to z tego powodu, że lekarz nadworny nakazał królowi tą grę jako: „niezmiernie kojąco działającą na nerwy"! Zachował się nawet w muzeum w Louvrze drzeworyt z roku 1694, przedstawiający króla, rozgrywającego partję.

W ciągu wieków starano się ciągle udoskonalać stół bilardowy, toteż w 1827 roku skonstruowano bilard z pozytywką. Na stole umieszczone były trzy figury, przedstawiające lwy. Gdy kula zawadziła o którąkolwiek z figur, pozytywka zaczynała grać jakąś popularną podówczas piosenkę. Moda ta jednak nie przyjęła się, gdyż muzyka przeszkadzała graczom.

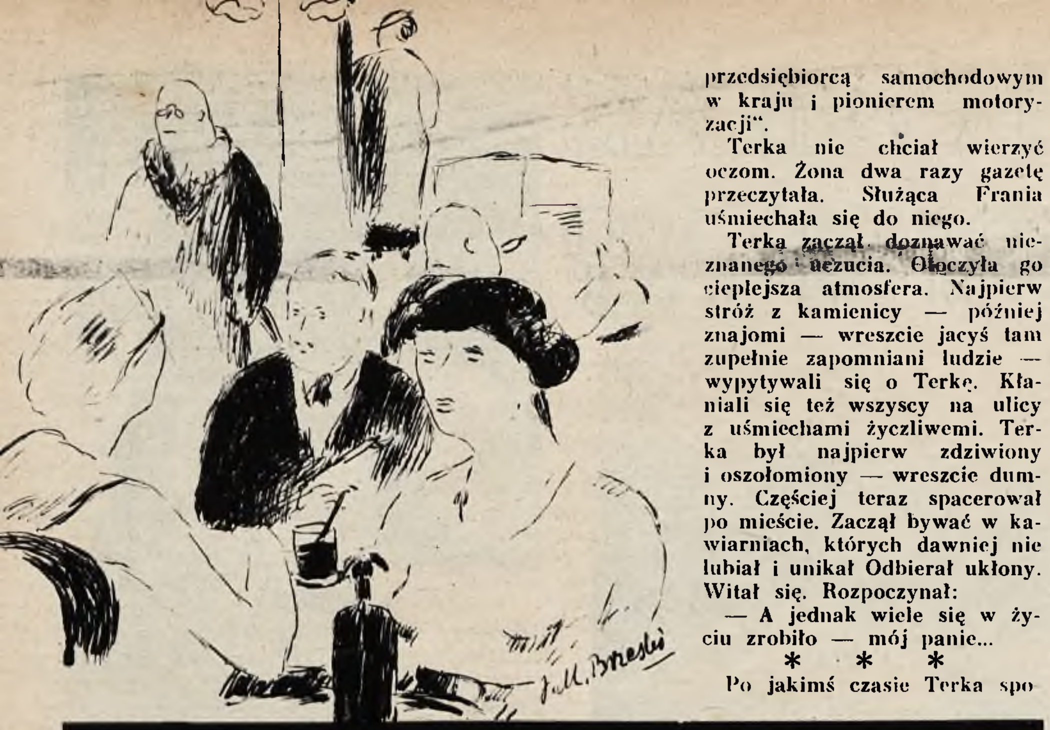
Pierwsze sale bilardowe otworzono w Paryżu w 1839 roku i odrazu zdobyły sobie olbrzymie wprost powodzenie. Poczęto ustanawiać rekordy, wymyślano różne dziwactwa i t. p. Dwóch miłośników bilardu postanowiło rozegrać partję, siedząc na koniach! Z wielkiemi trudnościami wprowadzono konie do salii bilardowej, lecz wnet konie się spłoszyły i powywracały stoliki! Ale dziwacy dopięli swego, gdyż rozegrali partję!

Z czasem zaczęto instalować bilardy również w domach prywatnych. Szczególnie w drugiej połowie 19 wieku prawie nie było we Francji zamożniejszego domu, któryby nie posiadał stołu bilardowego.

Dzisiaj manja bilardowa przeniosła się z domów prywatnych do kawiarni i cukierni. Są bilardy z jednym grzybkiem lub z trzema, są inne bez grzybków a za to z miniaturowemi kręgielkami. Widziałem w jednej z kawiarni poznańskich, jak trzech graczy począwszy od 10 rano niezmordowanie grało aż do zamknięcia lokalu do 23! Ogółem przez cały dzień rozegrali 40 partyj, chodziło bowiem o to, kto zdobędzie mistrzostwo! I cóż się okazało? Po pracowicie spędzonym dniu wszyscy gracze mieli równą ilość punktów!

Manją panów stał się bilard automatyczny. Wymykają się więc cichcem z domów zpod oka magnifiki, byle rozegrać choć jedną partyjkę za 20 gr. Wytworzył się już nawet u nas specjalny rodzaj zawodowych graczy bilardowych. Proponują grę po 50 gr. od wygranej partji i lekko zbierają po kilka złotych dziennie.

M. Dunin Borkowski.



człowiek z kawiarni...

Daleki jeszcze szum — rósł. Rytmiczny stukot wdzierał się do pokoju. Huk wstrząsnął domem, zadźwięczał szybami. Trwał sekundy — uciszał się, łagodniał — cichł szeptem, zginął w oddali — zakończony echem gwizdu. Jeszcze obłoki dymu snuły się i wirowały nad czarną, zmęczoną drogą żelazną

Jakób Terka stał oparty o framugę okna. Patrzał w zadumie na tory. Pomyślał:

— Ależ popędził...

Terka marzył zawsze o podróżach. Dawniej nie miał na nie czasu. Teraz był zbyt starym i szanował swe leniwe lata, ciepłe papucie i wieczorne godziny zadumy. Pojmował to — patrząc w szary szpaler kamienic — na żelazne szyny. Przychodziło mu często do głowy, że życie zmarnował. Że wymienił wielką przygodę na małe nic nie znaczące troski i zabiegi codzienne.

Westchnął Terka — opuścił firankę i podszedł do biurka, na którym stał globus. Poruszył go palcem. Mały świat zakręcił się.

— Tyle mórz — tyle krajów — pomyślał Terka i wydął wargi.

* * *

— Ktoś do pana — zagadała pokojówka Frania. Mówił, że z gazety...

Terka przywitał się z obcym. Usiedli. Reporter wyjął papier.

— A więc to pan pierwszy prowadził handel samochodami? — zagadnął dziennikarz. — Tak? Jest pan zasłużonym pionierem w dziejach motoryzacji kraju... PIONIEREM...

Terka odpowiadał na pytania. Nieśmiało potakiwał. Wygrzebywał daty, cyfry, fakty. Kiedy dziennikarz poprosił go o fotografję, uświadomił sobie nagle Terka, że jest „czemś". Że życie przyniosło mu coś w darze.

— Pionier.. — Pierwszy!... — powtarzał w myślach i z godnością zabrał się do szukania fotografji.

* * *

Gdy został sam, począł rozmyślać. Stopniowo pierwsze wrażenie mijało. Ochłódł. Materjał reporterzyny pójdzie do kosza — pomyślał — i fotografja przepadnie. A może to wszystko jakiś kawał? Bo cóż to może obchodzić kogo, że on był kiedyś kupcem, sprzedającym samochody?

* * *

Trzeciego dnia bomba. W największym dzienniku, na całą szerokość strony czernił się tytuł: — „Inż. Jakób Terka pierwszym przedsiębiorcą samochodowym w kraju i pionierem motoryzacji".

Terka nie chciał wierzyć oczom. Żona dwa razy gazetę przeczytała. Służąca Frania uśmiechała się do niego.

Terka zaczął doznawać nieznanego uczucia. Otoczyła go cieplejsza atmosfera. Najpierw stróż z kamienicy — później znajomi — wreszcie jacyś tam zupełnie zapomniani ludzie — wypytywali się o Terkę. Kłaniali się też wszyscy na ulicy z uśmiechami życzliwemi. Terka był najpierw zdziwiony i oszołomiony — wreszcie dumny. Częściej teraz spacerował po mieście. Zaczął bywać w kawiarniach, których dawniej nie lubiał i unikał Odbierał ukłony. Witał się. Rozpoczynał:

— A jednak wiele się w życiu zrobiło — mój panie...

* * *

Po jakimś czasie Terka spo



strzegł, że już wszystko o sobie ludziom opowiedział, że nie ma dla nich nic nowego... Częściej siadywał sam. Ludzie, z którymi łączyła go tylko jego krótka sława i przelotna znajomość — zapominali o nim. Poczuł się opuszczonym.

Jakoś — w rok po artykule w gazecie, umarła żona Terki. Został sam w pustem, dużem mieszkaniu. Miał córkę, która dawno wyszła zamąż. Młode małżeństwo wyjechało do Ameryki i słuch o nich zaginął. Rodziny Terka nie miał i żadnych znajomych.

Przesiadywał więc w domu. Jak kiedyś, patrzał — na przelatujące za oknem pociągi. Obracał globus. Zapadał w zadumę. — Czasem wieczorami wychodził na spacery.

* * *

Tak było parę miesięcy. Któregoś wieczoru przypomniał sobie Terka, jak o nim pisali w gazetach. Nabrał otuchy, może jest sam — ale przecież coś w życiu zrobił. Wyjdzie na miasto. Zobaczy ludzi.

Taki był początek „codziennej kawy i gazetek" w kawiarni.

* * *

Znali go wszyscy kelnerzy. Przychodził codzień punktualnie o 4-tej. W święta bywał wieczorem w kawiarni.

Terka przyzwyczaił się do swej knajpy. Pamiętał kto kiedy bywa. Znał te paniusie, które bezzębnemi szczękami mełły rozmoczoną w kawie bułkę. Lubił chłopca od gazet. Kłaniał się z godnością właścicielowi.

Był zawsze sam, przy małym stoliku pod oknem. Z czasem przestał wyjeżdżać latem z miasta. Nie potrafił żyć bez swej kawiarni, w której zapomniano jego nazwiska i określono go: „Ten pan w binoklach pod oknem"...

Zjadał 2 bułki z masłem, wypijał kawę. Gdy przychodziły „ważne" daty w kalendarzu pana Terki (imieniny, urodziny, święta i wreszcie rocznica założenia garażu) — siedział dłużej w kawiarni. Pił likier z kawą. Palił najlepsze cygara.

Od nikogo nie odbierał życzeń. Pozostał sam. Frania, służąca, odeszła. W domu Terka miał tylko przychodnią posługaczkę.

* * *

Kiedyś nie dostał na czas gazety. Na chłopca się rozgniewał, ale poczekać musiał. I wtedy rozejrzał się dłużej po kawiarni.

Tego tam ryżego — koło bufetu znał z widzenia. Tego i jeszcze wielu innych. Przychodzili tu jak on codziennie. Ludzie kawiarni — może ludzie bez domu.

— Czy wolne to krzesło — usłyszał naraz Terka miły głos obok.

Machinalnie skinął głową. Młoda dziewczyna usiadła przy sąsiednim stoliku. Otworzyła torebkę — wzięła lusterko, przejrzała się.

Pocóż ona tu przyszła — pomyślał Terka, i obserwował sąsiadkę.

Chłopak przyniósł gazetę. Terka zabrał się do czytania. Przerzucał strony i od czasu do czasu spoglądał na nieznajomą. Wreszcie posłyszał przywitanie. Odłożył gazetę. Mężczyzna podszedł do stolika. Usiedli razem. Zagadali się, aż kelner musiał dwa razy zapytać, co podać.

* * *

Długo jeszcze potem Terka myślał o tych młodych. Uświadomił sobie zwolna pustkę, która go otaczała od lat i swoją starość. Za późno było na szukanie przyjaciół. Pozostał w życiu sam. Żyjący oddawna z renty — daleki od życia, które szło naprzód.

Nadszedł dzień wigilijny. Terka przyszedł jak zwykle do kawiarni o 4-tej. Przeczytał gazety. Po raz pierwszy czuł się tu jakoś nieswojo. Zauważył, że sala pustoszeje bardzo wcześnie. Zaniepokoił się. Minęła 10-ta wieczór i Terka został sam. Nie mógł się jakoś zdecydować pójść do domu, gdzie czekała przygotowana wigilja dla dwu osób.

Posłyszał, że kelner stojący za nim, ziewa. Podniósł się i ubrał. Sucho złożył życzenia świąteczne obsłudze i wyszedł na mroźną, pustą ulicę.

Pod domem Terki na progu — pod drzwiami — siedział kundel. Małe biało-czarne „ni to — ni owo". Terka otwarł bramę. Zatrzymał się. Spojrzał w pustą ulicę i jasne kwadraty okien. Schylił się i pogłaskał psa. Kundel zbliżył się do człowieka — otarł się o jego nogi, pomyrdał ogonem. Terka cmoknął głośno, poczem on i ten drugi weszli do bramy.

— Oto „zamorski gość", który jeść będzie z drugiego talerza, przy moim stole — wyszeptał Terka, gdy wspinali się po schodach na piętro.

Bardzo zdziwiono się w kawiarni, że — „ten w binoklach pod oknem" nie przychodzi. Pomyślano, że chory — a po miesiącach sądzono, że umarł. I żałowano nawet Terki...

J. M. Brzeski.



KTO ★ NAS UBIERA?

★ ★ ★



Kupując materjał w wytwornych magazynach — próbując potem u krawca uszyty z niego garnitur — wkońcu nosząc go codzień na sobie, nie zastanawiamy się, ilu starań wymaga wyprodukowanie takiej tkaniny z wełny spotykanych w górach owiec...





Wiążąc codzień przed lustrem krawat, nie zdajemy sobie sprawy, z jak nadzwyczaj subtelnych nitek, uzyskanych z kokonów jedwabników, jest on utkany...

Tatusiu! a z czego się robi ubranie?

— Moje dziecko... widzisz, to te owieczki, które spotkaliśmy w lecie na wycieczce w dolinie Ko-
materjał wełniany...

— No dobrze... ale czy z owieczek szyje się moje
ścieliskiej, strzyże się i potem ich włos przerabia na
sukienki?

— E nie! Dla ciebie kupuje mama materjał bawełniany... widzisz, rośnie taka roślina, z której włókien tkacz robi dla ciebie sukienki...

— Aha... tatusiu! a dlaczego sami nie robimy sukienek?

— Moje dziecko... tatuś nie ma na to czasu, bo uczy na uniwersytecie...

— A ten kapelusz? Kto go zrobił?

— To już są takie duże fabryki i tam wyrabiają kapelusze.

— A z czego?...

— No z filcu....

— Tatusiu! A co to jest filc?...

— Filc... filc... e, nie nudź mnie!!!

— — — — — — — — — — —

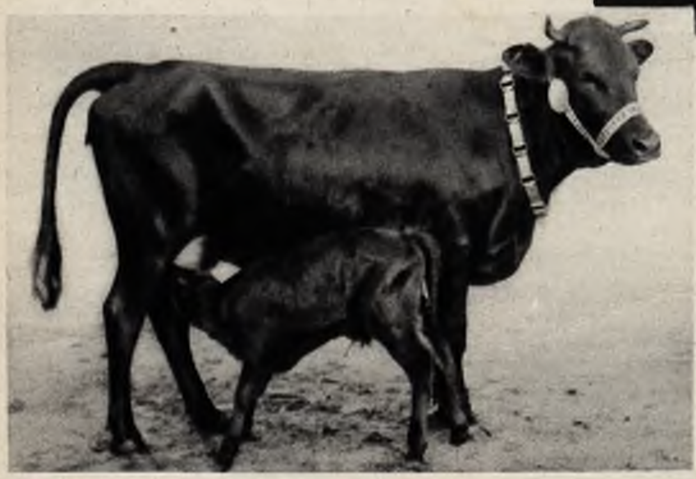
I tak kończą się często tego rodzaju rozmowy. „Tatuś" — już nietylko człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem, ale wprost sam „pan profesor" — usiłuje pokryć niewiedzę udanem zniecierpliwieniem. File

dawno przestał go interesować... Jego umysł, od szeregu lat nastawiony na ściśle prawnicze problemy, utonął w tysiącach paragrafów i w tej jednostronnie naukowej powodzi utopił wiele praktycznych wiadomości z okresu studjów gimnazjalnych. To jedno ma



Dobrze zrobione buciki i odpowiednio dobrane do ubrania pończochy cechują eleganckiego gentelmana...





Te oto sympatyczne „zwierzątka" dostarczają nam swej cennej skóry na obuwie...

Wszystkie zdjęcia: FOT. „AS"



Tak wygląda zbiór bawełny, z której włókien powstaje z dodaniem jedwabiu bielizna...



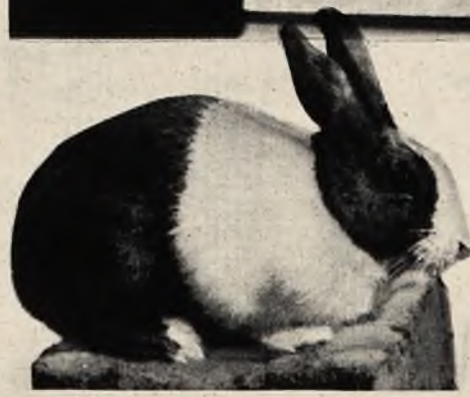
Banknoty najlepiej czują się w skórze krokodyla...



Kapelusz, zrobiony z dobrego filcu, zachowa długo swój fason...



Rogi bawole pozostaną najwłaściwszym surowcem na guziki...



Poczciwy „król" rezygnuje z swej sierści na korzyść fabrykanta wysokowartościowego materjału na kapelusze...

„pan profesor" na swe usprawiedliwienie. Ale w jaki sposób my, młodzi, wytłumaczymy te braki? Jeśli już pretendujemy do miana ludzi wykształconych, natenczas będzie nam napewno bardzo głupio stwierdzić, że nie zdajemy sobie sprawy np. z czego zrobione są... pończochy! Ktoś, zapytany w tej „materji", odpowiada najczęściej: z nici. No dobrze. — Ale co to są nici? — zapytamy w ślad za córeczką profesora. I wtedy zamiast rzeczowej odpowiedzi, usłyszymy od takiego „pana na cenzurowanem" mniej lub więcej zręczną bajeczkę, którą trzeba poprostu nazwać... blagą.

I tak coraz częściej można spotkać „inteligentów", utrzymujących, że filc wyrabia się z mielonych piór, a pończochy fil d'ecosse z... włókien lnianych.

Swoją drogą, to pomieszanie pojęć i wiadomości, nieraz bardzo zasadniczych, znajduje częściowo wytłumaczenia w chaosie, który zapanował z chwilą wprowadzenia syntetycznych, lub zastępczych surowców. Wiemy, że naprzykład guziki — ta jedyna ozdoba męskiego ubrania (nie mówimy o dodatkach, jak np. krawaty) — wyrabiane były z rogów bawoła. Odpowiednia apretura decydowała o przeznaczeniu guzika bądź do garnituru sportowego, bądź wieczorowego. Dziś coraz rzadziej spotykamy róg na naszych ubraniach. Zastąpiono go sztuczną masą — surowcem brzydszym, mniej trwałym, ale napewno znacznie... tańszym!



Oto jak wyglądają rękawiczki dobrze ubranego gentelmana...

Poniżej: Coraz rzadziej spotyka się cenne spody futrzane...





Skóra tych „milutkich" zwierząt powędrowała od fabrykantów walizek do rękawiczników.



Na lewo: Przebiegły tchórz jest piękną i praktyczną ozdobą stroju zimowego...

★

I tak powoli dzieje się z innemi akcesorjami stroju męskiego.

Pod znakiem taniości odbył się odmarsz wartościowych i jak pięknych spodów futrzanych. Filc z zająca lub królika na kapelusze, krawaty z prawdziwego jedwabiu itd. itd. — wszystko to zaczyna być powoli dla nas — ludzi postępu, dzieci XX wieku — tylko legendą.

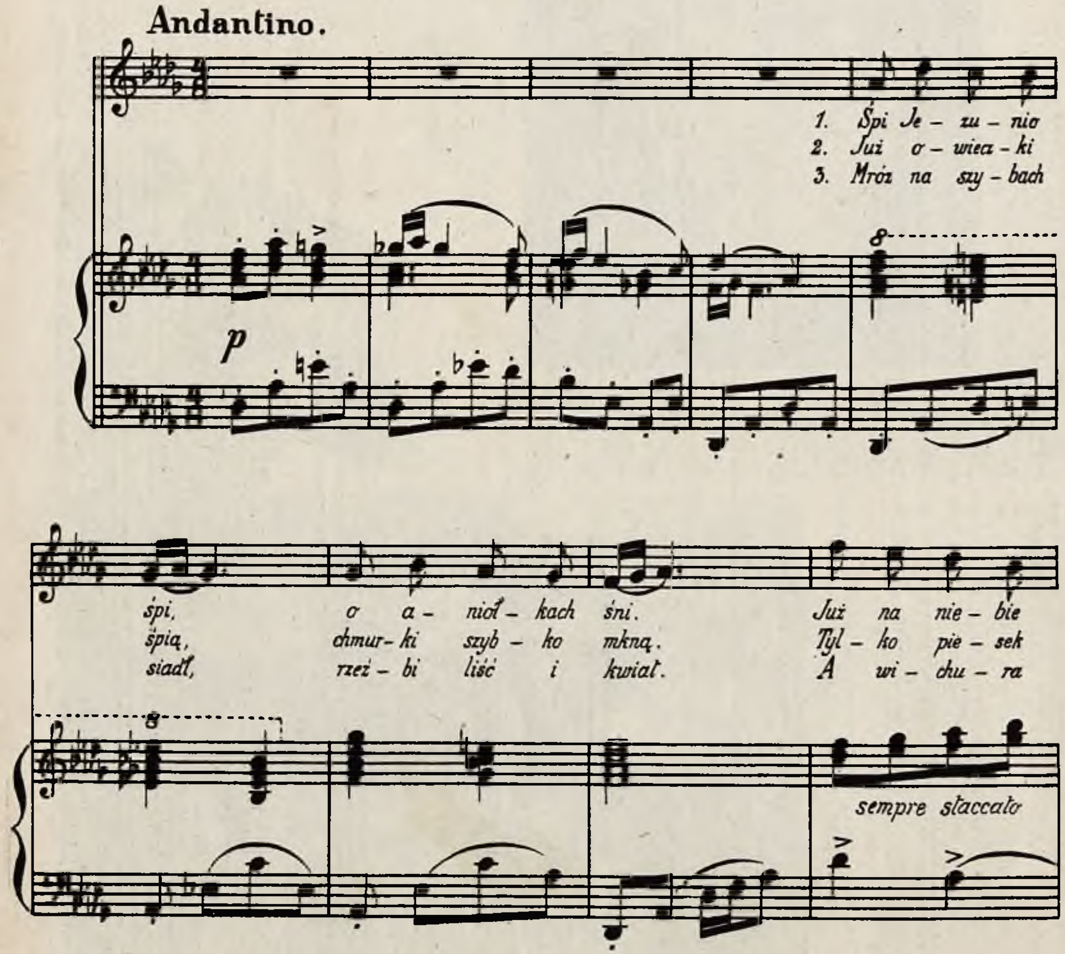
Brummel.
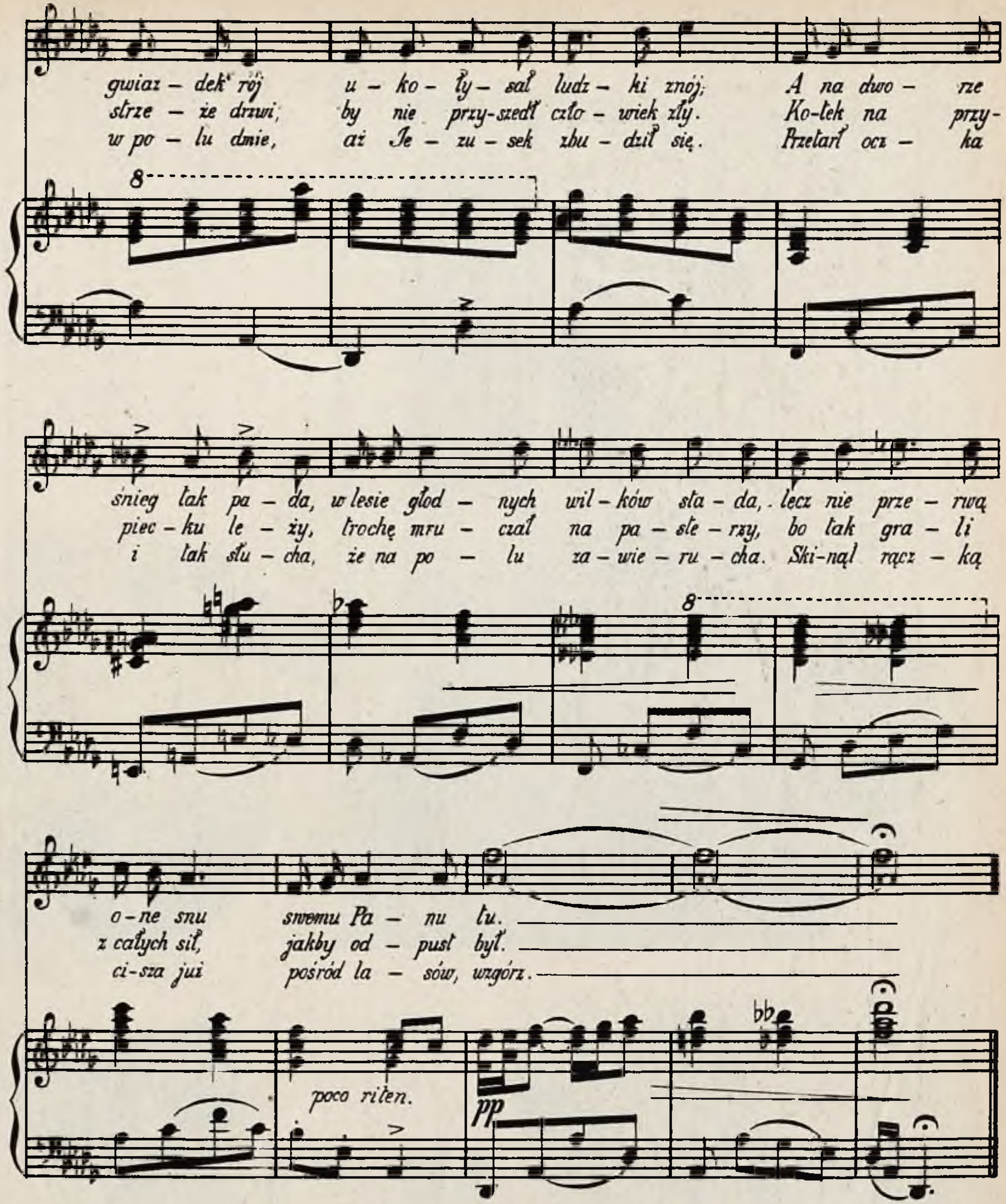
KOŁYSANKA JEZUSKOWI DO SNU

KOLENDA

Słowa:
MARJA PARUSZEWSKA

Muzyka:
BOLESŁAW WALLEK-WALEWSKI





PANI STRASZNEGO ZAMCZYSKA

NOWELA

★

ANTONINA TEODOROWICZ

Tyle lat... Tyle lat! — mówił stary Jan, zacierając ręce. — Siadajcież panie... o, tutaj na ławie, ugoszczę jak mogę. I posadził mnie na wąskiem twardem łóżku, podsunął jedzenie, papierosy, wódkę... cieszył się stary jak dziecko z mego widoku. Spochmurniał dopiero wtedy, gdy wiedziony ciekawością, spytałem naraz:

— Słyszałem Janie jakieś bajki o świętej pamięci panu waszym... że straszy, chodzi po zamku... cóż, nie boicie się? — Zaśmiałem się lekko, podczas gdy twarz starego sługi zmierzchła i stwardniała w wrogim wyrazie. Zagryzł mocniej fajkę i mruknął nieokreślenie:

— Et... co tam panie mówić o tem...

I splunął przez zęby niechętnie.

Długo musiałem go prosić, przekładać mu i tłumaczyć, nim wreszcie opowiedział mi tę historję, którą się z wami podzielę...

— Pamiętam jak przyjechali, bom ich sam wyszedł witać z chlebem i solą... a ona mnie odrazu za serce chwyciła. Takie to było bledziutkie, wątłe, a śliczne i białe, jak dziewczynka, jak kwiatek na wiosnę... wysiadła z powozu i zaraz do mnie:

— Witajcie — mówi — strasznie wam dziękuję — i uśmiecha się tak jakoś... et, panie, jak ona się uśmiechnęła... Aż ja stary poczułem, że mi się serce ściska i tak mi jakoś było... alem tylko spojrzał na nią wdzięcznie, a potem zaraz na niego.

— Myśli pan, że się zmienił? Myślałem: powie dobre słowo, uśmiechnie się, zmięknie, popatrzy... Gdzie tam. Szedł za nią z tą swoją chmurną, ciemną twarzą, i ani mu wargi nie drgnęły, tylko ujął ją pod ramię i wprowadził do zamku, jak dziecko, czy psa... Nieodrodny potomek tego rodu, którego pradziad zmarł w obłąkaniu, toczony straszną chorobą.... Od tego czasu wszyscy oni byli jacyś dziwni. Szła za nim posłusznie, bielutka, cicha i słodka, małe nóżki ledwo zdążały za jego wielkiemi krokami. I wtedy już, patrząc za nimi, wiedziałem: nie łatwe będzie miała z nim życie, nie łatwe.

— I nie łatwe też było. Trzeci rok już szedł, a ona coraz bledsza i bledsza, cichsza i jakaś taka... et, co tam, nie umiem tego powiedzieć, ale była jak taki słaby, ledwo rozdmuchany ogienek, co gaśnie z dnia na dzień, z dnia na dzień...

...żeby jej czasem powiedział dobre słowo, przytulił, pogłaskał, możeby w tym cieple ożyła, rozkwitła. Ale on jak zawsze ani jej o zdanie nie pytał, ani baczył czy zmęczona czy nie, wesoła czy smutna... Raz się ośmieliłem i zaniósłszy mu kawę do bibljoteki, staję przy fotelu i powiadam prosto w oczy:

— Ja myślę, proszę jaśnie pana, że nasza pani, to się biedactwo zanudzi. Ani to niema towarzystwa, jeno pan, ino pan, pieski i stara Mańka... a pani młoda... i trzeba... — alem już nie dokończył, bo jak spojrzałem na niego... panie świeć nad jego duszą! Tom się cofnął i jakiś mnie dreszcz przeleciał przez krzyż... Panie, jakie on miał te oczy. Zawsze miał dziwne, głębokie i takie jak u kota żółte a wielkie. Ale wtedy to mi się zdawało, że mu się palą żywym ogniem, że mnie parzą i biją, i zabić chcą na śmierć.. na śmierć! Cofnąłem się, a on powiada cicho:

— Idź!

Nic więcej. Ale gdym szedł do drzwi, to czułem, jak mnie te jego żółte oczy przeszywają na wskroś, na wylot...

Od tego czasu zaczęło się wszystko źle.

Raz pani przychodzi do mnie i powiada:

— Wiecie Janie, będziemy mieli dziedzica! — I rumieni się, jak wisienka i uśmiecha się, a oczy to ma takie jasno... Aż mi dech zaparło, żem nic powiedzieć nie mógł, jenom się do jej ręki pochylił, a ona mnie pogłaskała po głowie, jak matka i mówi ciszej:

— Widzę, że się cieszycie razem ze mną, żebyż to wszyscy tak się cieszyli! — i poszła, a ja wiedziałem o kim mówi...

Pani teraz uśmiechała się częściej i krzątała się po zamku, nuciła coś czasem... albo siadała przy wielkiem oknie i szyła maluśkie sukienki.

A on tylko oczami za nią wodził i wargi zaciskał, jakby go coś bardzo, nie do wytrzymania bolało.

Widział pan kiedy oczy kota, gdy jest zły? Nie? Bo on właśnie miał takie oczy kota, co lada chwila a rzuci się na człowieka i będzie gryzł i szarpał i dusił...

Nie posłał jej do doktora, ani nie zważał, że chudsza i bledsza z dnia na dzień. Unikała go, jak mogła i schodziła z drogi.

Raz, pamiętam, poprawiałem drzewo w kominku, gdy on przyszedł. Pani siedziała w fotelu i jak zwykle coś szyła, a on zaraz do niej. Oczy mu się palą, jak żółte ognie i powiada:

— Wychodziłaś?

— Ależ nie — odpowiedziała mu spokojnie — siedziałam w domu. Szyję dla dziecka.

I znowu taki blask miłości rozjaśnił jej oczy, że go znieść nie można było. Rzucił się, jakby go kto nożem ukłuł.

— Dziecko! Dziecko! Dziecko! Wciąż ono, nie chcę słyszeć o niem. Rozumiesz? Nie chcę! Nie chcę nic wiedzieć o niem!! — Przeklęty bękart! — ryknął wściekle i skoczył do niej. Myślałem, że zemdleje. Wszystka krew jej uciekła z twarzy i wargi tak drżały... Podniosła się i powiedziała takim dziwnym głosem, że do dziś go pamiętam:

— Pamiętaj — jest twoje! Jeśli je kiedy skrzywdzisz, bądź przeklęty! bądź przeklęty! Pamiętaj! —

W tydzień później, w nocy, wiła się w mękach, a on nawet palcem nie kiwnął, żeby po doktora posłać. Wszystko ja i stara Mańka. Siedział w bibljotece, szklankę wódki trzymał w ręce, spokojny, twardy, niemy, tylko mu się te żółte oczy zaświeciły, gdym wszedł. Ale nie spytał o nic.

— Córka, jaśnie panie! — powiedziałem — ale trzeba może księdza...? — Głos mi się trząsł, bo ona tam leżała biedulka i więcej jej było do śmierci, jak do życia...

Przed śmiercią zawołała go. Przyszedł, stanął nad nią i nic nie mówił, patrzył wprost w oczy. Wyciągnęła z wysiłkiem rękę, dotknęła nią jego dłoni, i powiedziała cichutko:

— Anna! Twoja córeczka... nie skrzywdź, bo by cię Bóg skarał!... bądź dobry!

Nie zdążył nic odpowiedzieć, a już opadła na poduszki i skonała. Spojrzał, pochylił się, patrzał długo, jakby ciekawie, a potem wyszedł...

Pił do rana.

— Anna była całkiem do matki podobna. Pokochałem to dziecko, jak swoje, i uczyłem, jak ma z ojcem postępować. Ale jedno co miała z niego, to upór. Mogłem mówić sto razy: nie drażnij go! To właśnie, gdy przyszedł na obiad, nie było jej, gdy spał — krzyczała, gdy czytał — przeszkadzała... Coś w niej było takiego przeciwko niemu, że nie mogłem w niej tego pokonać. Żyli ze sobą jak pies z kotem, gorzej jeszcze. Dziwne to było dziecko. Ciche, uparte, zamknięte w sobie, poważne... Najwięcej, to lubiła siadywać w pokoju matki, i tam bawiła się jej drobiazgami i sukniami... Spędzała tak całe godziny, cicha i spokojna. Dopiero gdy usłyszała kroki ojca, jakiś djabeł wstępował w nią i poddawała mu się odrazu...

Gdy jaśnie pan ożenił się po raz drugi, z tą... rozpętało się piekło w domu! Nowa pani idzie do łazienki: Karaluchy pływają! Pani do łóżka spać: mokra gąbka, albo żaba... suknie znajduje wyplamione, perfumy rozlane...

— Anno — mówiłem nieraz łagodnie. — Przestań! nie można tak... nie trzeba drażnić twojej nowej mamy!

— Ona nie jest moja mama! — Odpowiadała mi zawsze, i dodawała z błyskiem w oczach: Nienawidzę jej! Nienawidzę!

Pan tylko patrzył i nic nie mówił. Gdy mu się pani skarżyła na Annę, śmiał się. Czasem brał Annę na kolana przemocą, i trzymając jej buzię w dłoniach, pytał:

— Kochasz mnie, Anno?

— Nienawidzę cię! — odpowiadała ta mała żmijka i wyrywała się z jego rąk, a on śmiał się i mówił tylko:

— Ach, tak? Naprawdę?

Pił coraz więcej, a pani z nim razem. Nie lubiłem jej coprawda, przyznaję. Ładna była wprawdzie, jak cyganka, śmiała się dużo i głośno, albo wybuchała niepochamowanym gniewem. Zabawiali się teraz państwo na zamku wcale nieładnie. Gości sprowadzali, co pili bez pamięci, niszczyli zamek, sad i ogród... Albo często państwo razem — bo to oboje strzelali dobrze — brali rewolwery i walili do psów, do świeczników... jak popadło. Pan schudł, szczerniał, usta mu się zacisnęły jeszcze więcej, tylko oczy mu gorzały, jakoś niesamowicie żółte, nieludzkie.

W ten ostatni wieczór, w jesieni, jak dziś pamiętam, wiatr wył i hulał po zamku, trzaskał okiennicami, szalał w kominie i dudnił po strychach... Anna siedziała gdzieś w swoich pokojach, a ja podałem państwu kolację na stół, i czytałem chwilę, a potem mi się jakoś oczy skleiły, głowa zaczęła się kiwać, i zasnąłem, sam nie wiem kiedy.

Obudził mnie strzał. Jeden... drugi... trzeci. Zerwałem się przerażony! Co to? Na górze? Gdzie?

Chwyciłem świece i poleciałem na górę. Przeleciałem jedną salę, drugą, trzecią... Aż dobiegłem do sali portretowej, uchyliłem drzwi i zmartwiałem! Na środku sali, ze szklankami w jednej, a z rewolwerem w drugiej ręce, stali pan i pani i raz jedno, raz drugie strzelało do portretów wiszących na ścianach. Pan śmiał się, oczy mu gorzały dziko, i wołał do niej:

— Teraz ty! Wal prosto między oczy! Między oczy! Mordujemy pradziadków! — I sam walił raz po raz między oczy portretów, dziurawiąc każdy celnym strzałem. Jakoś dziwnie, niesamowicie wyglądali ci przodkowie poważni, wiszący na ścianach, z dziurami od kul między oczami. Sala tonęła w światłach świec, i tylko po kątach snuły się szare, brudne cienie.

— Między oczy! Między oczy! — wołał pan i popijał ze szklanki, gdy ona strzelała. Zobaczywszy mnie, zaśmiał się dziwnie, i wrzasnął:

— Hej, Janie! Wódki! Mordujemy pradziadków!

Już chciałem zawrócić i uciekać stamtąd, gdy mignęła mi tuż koło nóg mała figurka i nim zdążyłem ją zatrzymać, wpadła do sali. Pan właśnie podnosił rewolwer. Został już tylko jeden portret...

...Jasna, uśmiechnięta, stała na nim matka Anny, w białej, dziewczęcej sukience, i patrzała na nas swemi miłemi, ufnemi oczami. Anna stanęła przed portretem boso, w koszulce tylko, z roztarganemi włoskami i rozłożywszy rączki, krzyknęła jakoś trochę śmiesznie, przejmująco i boleśnie:

— Nie strzelaj! Nie strzelaj!

Opuścił rewower, oczy mu zabłysły wściekle, zbliżył się o krok i warknął przez zęby:

— Precz! Precz!

— Nie strzelaj! Słyszysz? Nie strzelaj! — krzyczała Anna histerycznie swym dziecinnym głosikiem — do mamusi nie strzelaj! Nie strzelaj!...

Potem, to sam nie wiem, kiedy się to wszystko stało. Równocześnie rzuciłem się naprzód, w przeczuciu tego co się może stać... równocześnie zabrzmiał strzał i mała figurka śmignęła ku wyciągniętej ręce pana, zabrzmiał słaby, przejmujący krzyk dziecka i dziewczynka opadła na ziemię, jak śmieszny, mały tłomoczek, zwinięta w kłębuszek.

Gdy podbiegłem i podniosłem ją, nie żyła już. Zginęła na miejscu. Miała oczy rozwarte szeroko, pytające i smutne... I patrzyła niemi wprost na pana, który spoglądał na nią skamieniały, bez słowa. Był śmiertelnie blady, z zamarłą nagle twarzą. Cisza była taka straszna...

Pani wrzasnęła nagle i uciekła, jakby ją tysiące djabłów goniło. Wtedy ruszył się z miejsca i wolno, wolno ukląkł przy dziecku. Ujął rączkę Anny i pochylony patrzał wprost w jej martwe oczka swemi żółtemi źrenicami. Rozpalały się w nich raz po raz jakieś szaleńcze, złe błyski. Czułem nieomal, jak całe jego ciało drżało, jak prężyło się w jakiejś okrutnej, ponad siły walce. Ręce, trzymające rączki Anny, były zaciśnięte tak silnie, że wpijały się wprost w dłonie dziecka. Z początku nie rozumiałem co mu jest, ale potem...

— Chciał płakać... a nie potrafił!

Łamał się cały w beznadziejnej walce z samym sobą, z siłą, co uczyniła jego serce suchem, spalonem pogorzeliskiem...

Pochylony trwał tak bez ruchu, bez łez, bez cienia jakiegokolwiek uczucia w żółtych, dziwnych oczach, może chwilę... może godzinę... dwie...

Czy mogłem wtedy zliczyć czas?

Wreszcie podniósł się z trudem. Wyprostował się, puścił ręce Anny. Opadły na podłogę z niedającym się opisać stuknięciem.

Szedł do drzwi zataczając się, potknął się o próg i wyszedł.

Pił do rana. A rano, gdy zasnąłem zmęczony czuwaniem przy zmarłej, zbudził mnie strzał. Wiedziałem odrazu, co się stało. To on.

Znalazłem go przed portretem pani, zwiniętego w kłębek, jak Anna wczoraj. Żółtemi oczami patrzał wprost na mnie i tych oczu jego nigdy, póki życia, nie zapomnę! Nigdy!

— Powiadają, że w zamku straszy. Że „on" chodzi po nocach i jęczy, ale ja nie widziałem go nigdy...

— Duchy? Cóż mi mogą zrobić? Prędzej im potrzeba pomocy... jemu, gdy przychodzi, może przed portret i patrzy swemi żółtemi oczami i kładzie rękę tam, gdzie leżała mała główka Anny...

Zresztą... może to tylko ludzie tak opowiadają?...



W. COLLINS — NOWELA

PRZEKŁAD W. DE RICHE

Dokończenie z N-ru 51.

Tu kończy się niezwykłe opowiadanie ojca Le Bel. Należy dodać, a świadczy to do pewnego stopnia o postępie ludzkości, że ten barbarzyński mord popełniony za wiedzą i wolą królowej Krystyny, któryby w czasach feudalnych nie zwrócił uwagi, jako zwyczajny i zrozumiały przykład władzy panującego nad wasalem, wywołał w połowie siedemnastego stulecia najwyższy niesmak i grozę w całym Paryżu. Ówczesny pierwszy minister, kardynał Mazarini — który, jak wiemy z historji, nie był człowiekiem bardzo względnym — wysłał list do Krystyny, zawiadamiając ją, że „okrutna zbrodnia, popełniona z jej wiedzą w pałacu w Fontainebleau, jest wystarczającym powodem do wygnania królowej Szwecji z posiadłości jego pana, który jak każdy uczciwy człowiek w królestwie, oburzony jest z powodu dokonanego na ziemi francuskiej bezprawia".

Na list ten królowa Krystyna dała odpowiedź:

„Panie Mazarin — Ci, którzy donieśli panu o szczegółach śmierci koniuszego mojego, Monaldeschiego, wogóle nic o niej nie wiedzą. Uważam za czyn wybitnie bezsensowny zaprzątanie uwagi tylu ludziom sprawą tak prostą. Postępowanie pańskie, samo przez się śmieszne, zgoła mnie jednak nie dziwi. Zdumiona jestem tylko, że pan i pański władca ośmielili się wyrazić mi naganę. Zrozumieć musicie wszyscy — słudzy i panowie, maluczcy i wielcy — że podobało mi się tak postąpić. Nie jestem zobowiązana zdawać sprawy z moich czynów i nie zdaję przed nikim — tembardziej przed ludźmi pańskiego pokroju.

Wiedzcie i postarajcie się o rozgłoszenie, że Krystyna nie dba ani o dwór wasz, ani o pana. Kiedy się pragnę zemścić, nic mnie od zemsty powstrzymać nie może. Honor mój wymagał, abym tak uczyniła; wola moja jest mojem prawem, a pan powinieneś również szanować ją... Zrozum, jeśli łaska, że jestem królową zawsze i wszędzie i że otaczający mnie ludzie — chociaż zdolni do każdego przestępstwa — są o wiele lepsi, niż pańscy myrmidonowie.

Skorzystaj z tej nauczki, Mazarinie i nie narażaj mi się nigdy w przyszłości. Tego ci nie radzę. Niech cię Bóg strzeże przed wypowiadaniem potępiających mnie uwag! Dowiem się o tem nawet na drugim końcu świata, gdyż mam przyjaciół i stronników równie bezwzględnych i czujnych, jak pan, chociaż nie tak drogo opłacanych".

Odpowiedziawszy w ten sposób pierwszemu ministrowi Francji, Krystyna opuściła bezzwłocznie królestwo.

Przez trzy następne lata podróżowała. Po upływie tego czasu, kuzyn jej, król Szwecji, na którego korzyść abdykowała, umarł. Wróciła natychmiast do ojczyzny, aby raz jeszcze ująć władzę w swe ręce. Ale tu pomściła się na niej okrutna zbrodnia, popełniona za jej wiedzą. Dzielny i prawy naród szwedzki nie chciał być rządzony przez kobietę, która kazała zamordować Monaldeschiego. Zagrożona, na wypadek pozostania w Szwecji utratą dochodów, jak i utratą władzy królewskiej, bezlitosna Krystyna po raz pierwszy w życiu uczuła się zwyciężoną. Zrezygnowała jeszcze raz z praw i królewskiego tytułu i opuściła znowu ojczyznę. Ostatnie lata życia spędziła w Rzymie. Umarła tam w roku tysięcznym sześćsetnym osiemdziesiątym dziewiątym. Niezwykły i nieugięty charakter tej kobiety przebija i w epitaphium, które kazała umieścić na swym grobie. Dzieje jej namiętnego, zadziwiającego, grzesznego żywota zamykają się w tem jednem zdaniu:

KRYSTYNA ŻYŁA LAT SZEŚĆDZIESIĄT DWA.

HEJ KOLENDA... KOLENDA!

Wśród bogactwa naszych obrzędów i zwyczajów świątecznych w okresie Bożego Narodzenia, najbardziej charakterystycznym jest zwyczaj obnoszenia szopki krakowskiej, która posiada pod względem konstrukcyjnym i dekoracyjnym odrębny charakter. W przeciwieństwie do szopki italskiej, przedstawiającej święte zdarzenia zapomocą bogatej scenerji nieruchomych figurek, artystycznie wykonanych w terrakocie lub w drzewie, nasza szopka tworzy konstrukcyjne połączenie teatrzyku marjonetkowego z nieruchomą szopką italską.

Prastarą historję posiada krakowska szopka. Jest ona niewątpliwie wspomnieniem średniowiecznej misterjalnej sceny. Wskazuje na to jej trójdzielna struktura architektoniczna, przypominająca żywo średniowieczną misterjalną scenę — trzech światów, ziemi, piekła i nieba.

Krakowska szopka jako wytwór ludowej sztuki, bywa prymitynie sklecona z kartonu, oblepionego kolorowym papierem i bibułkami. Jak widzimy na załączonych reprodukcjach, składa się z frontonu piętrowej budowli, zakończonej baniastą kopułą. Boki pałacu zdobią zawsze dwie wieże, wyraźne wspomnienia marjackich, okolonych u szczytu wieńcem malutkich wieżyczek. Pałacowa fasada, oświetlona od wewnątrz szopki, posiada w parterowej kondygnacji rozszerzony portal, zamykający otwór marjonetkowej sceny, opatrzonej kurtyną. Miejscem działania arcydawnych bohaterów szopki, wywodzących ród swój w prostej linji z rybałtowskich komedyj i średniowiecznych intermedjów, jest scena umieszczona u dołu tej trójdzielnej budowli, w której łatwo odróżnić możemy dwie inne architektonicznie z całością związane sceny światy.

Są niemi taras zamkowy z ustawioną na nim nieruchomą grupą, wyobrażającą święte zdarzenie. U góry ponad kopułą pomiędzy wieżami unosi się zwykle napis: „Gloria in excelsis Deo", podtrzymywany przez papierowe aniołki, lub gwiazdki.



Szopka krakowska ze zbiorów dyr. Ludwika Strojka.



Na lewo: Szopka krakowska. (Krak. Muz. Etnogr.).



Szkic rysunkowy Jacka Malczewskiego, przedstawiający hołd pasterzy.

Przyklejone do szczytów wieżyc lub kopuły aniołki, przypominają, iż na tych wysokościach mieściło się ongiś niebo, zaś taras pierwszego piętra szopki, to ziemia, gdzie plastycznie odtworzono Boże Narodzenie. — Wspomnieniem dawnej parterowej kondygnacji piekła, jest scenka, gdzie, jak przed wiekami, tak i dziś, harcują piekielnie jowialne i groteskowe persony, bohaterowie dawnych intermedjów, a więc śmierć-kostusia z djabłem, Herod, żołnierz z przekupką, żyd z chłopem, Twardowski i ułan. Poza architektoniczną formą szopki i teksty mówione i śpiewane przez wiejskich chłopaków posiadają swój starodawny charaker, zanotowany przez Kolberga.

Szopka poczęła swój żywot w kościołach Franciszkanów i Dominikanów, którzy już w VX wieku ustawiali w kościołach piękne szopki, wykonane przez znakomitych ówczesnych artystów. Najstarsze znajdują się w bazylice Santa Maria Maggiore w Rzymie, oraz w San Giovani a Carbonera w Neapolu, (z r. 1484). Zakony Franciszkanów przeniosły ten piękny zwyczaj do Polski.



Szopka krakowska ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.

Temperament i humor naszego ludu wprowadziły z czasem do liturgicznych postacii, rubaczne figury naszej komedji dell'arte — i sprawiły, że szopka w ciągu wieków zatracała coraz bardziej swój kościelny charakter a stawała się minjaturowym surogatem ludowego teatru.

Obowiązkiem naszym jest czuwać, aby krakowska szopka nie zatraciła swego odwiecznego charakteru i nadal łączyła współczesność z dawną tradycją. Szanujmy więc i popierajmy przemiły zwyczaj obnoszenia po wsiach i miastach szopki krakowskiej, posiadającej szacowne piętno swoistej, regjonalnej sztuki ludowej.

M. Dienstl-Dąbrowa.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

BARSZCZYK NOWOROCZNY podany nad ranem po zabawie sylwestrowej, widziany bywa bardzo mile szczególnie jeśli kieliszki witające Nowy Rok, wychylane były do dna i nie zbyt rzadko. U nas w Polsce, barszczyk po zabawie stanowi nieodzowne zakończenie, chwalą go też za granicą (choć go nie umieją gotować), a w Anglji szczególnie go cenią. Widziałam go tam jako konserwę sprowadzaną od nas, a z jakiego powodu nie fabrykują go sami jest niezrozumiałem.

Barszczyk taki gotowany być musi na mocnym rosole wygotowanym z drobno porąbanych kości wołowych, mięsa wieprzowego i wołowego (ilości nie podaję, im więcej tem lepiej), włoszczyzny, paru grzybków, paru ząbków czosnku i paru większych buraków. Gęsty czerwony doskonale ukiszony barszcz, jest nieodzowną oczywiście częścią składową wygotowanego rosołu, ma być tyle ile się dolewa czystego barszczu, który się zagotowuje osobno raz tylko i szybko, gdyż inaczej straci kolor, poczem miesza się go z odcedzonym rosołem, kontroluje czy dość słony, łagodzi ewent. ostrość odrobiną cukru i podaje gorący w filiżankach. Osobno podać można paszteciki francuskie naleśniki, ale te nie są konieczne. Czasem daje się do filiżanek trochę w cienki makaron skrajanych buraczków lub w plasterki pokrajane parówki albo jedno i drugie.

AUSZPIK DO GARNIROWANIA PÓŁMISKÓW. Kilka listów naszych miłych Czytelniczek skłania nas do podania tego obecnie w przededniu zabaw i przyjęć szczególnie aktualnego przepisu.

Ażeby auszpik odpowiadał swemu celowi, musi być zupełnie czysty, „klarowany", wedle technicznego wyrażenia. Nagotowany być może z samych nóżek cielęcych lub z dodatkiem mięsa wołowego lub drobiu, aby był pożywniejszy. Ponieważ to jednak nie jest głównym celem auszpiku, podajemy tu przepis służący tylko do ozdoby półmisków, przyczem zaznaczamy, że galaretka ta jest bardzo łatwo strawna i polecona być może osobom o najwrażliwszych żołądkach. **Oto przepis.** 4 nóżki cielęce oparzone i oczyszczone, sparzyć raz jeszcze wrzącą wodą, oskrobać, wymyć i nastawić do gotowania z dużą ilością włoszczyzny, cebuli, soli i troszką korzeni. Wody nalewa się tyle, aby wszystko było przykryte. Gotuje się tak długo, aż mięso od kości odstanie. Wtedy obiera się mięso z kości, które można użyć do smażenia itp., a smak, którego nie powinno zostać więcej niż litr, przecedza się przez gęste sitko, dolewa szklankę wina, wciska sok z całej cytryny, dodaje dwa białka wraz z łupkami z jaj (białka rozbić w troszce zimnej wody), zagotowuje, dodaje dwa listki żelatyny licząc na 1 litr i odstawia na godzinę, poczem zdejmuje się tłuszcz z wierzchu a resztę płynu wylewa się na serwetę, rozłożoną na sicie. Gdyby po zastudzeniu galareta okazała się za wolna, trzeba ją rozgrzać i dodać żelatyny lecz nie za wiele, gdyż za twardy auszpik nie jest dobry, zwykle wystarcza 1½ do 2 listków żelatyny na litr płynu. Chcąc mieć auszpik kolorowy, dzieli się płyn na trzy części, jeden farbuje się szafranem na żółto lub pozostawia biały, drugi palonym cukrem na brązowo a trzeci sokiem buraczanym na czerwono lub szpinakiem na zielono. Są też w handlu farby spożywcze, któremi barwić można galaretkę. Płyn wylewa się płytko na talerze, a po zastudzeniu kraje w paski lub drobną kostkę i ubiera nim półmiski. Do ubierania półmisków z rybą sporządza się auszpik w ten sam sposób, dając w miejsce nóżek cielęcych, głowy i odpadki rybie.

GALANTYNA Z KUROPATW. 25 dkg cielęciny, 10 dkg bielu, tyleż wątróbki cielęcej oraz bułkę rozmoczoną w mleku, przemleć dwa razy, wymięszać z łyżką masła utartą z dwoma żółtkami i jednem białkiem, posolić i popieprzyć. Masą tą nadziewa się oczyszczone odleżałe w soli kuropatwy lub jarząbki; napełnia się miejsce pod skórą na piersiach począwszy od szyi, odciągając skórę od mięsa ostrożnie, aby się nie przedarła, poczem się skórę przy karku zaszywa. Ptaszki ułożone w rądlu na poszatkowanej drobno jarzynie dusi się w maśle podlewając bulionem. Zduszone przekrawa się na połówki układa się w formie wylanej auszpikiem, ubiera piklami cytryną, paskami trufli, szyjkami raków itp., zalewa auszpikiem i zastudza. Wydane na półmisek ubiera się zieloną sałatą. Osobno podaje się sos tatarski lub holenderski. Jest to eleganckie danie na śniadania lub zimne kolacje.

PĄCZKI SEROWE. Pół filiżanki letniego mleka, w którym rozpuszczono kostkę cukru i 2 dkg drożdży zarabia się z łyżką mąki i stawia w cieple. Osobno uciera się 4 dkg masła z jednem żółtkiem i jednem całem jajem, oraz 4 dkg cukru, w trakcie ucierania dodaje się po łyżce 15 dkg zmielonego lub startego twarogu niezbyt mokrego. Do utartej masy wlewa się podrosłe w międzyczasie drożdże, dodaje 25 dkg dobrej mąki i wybija doskonale na gładkie dość tęgie ciasto, które się zaraz wykłada na stolnicę, wałkuje na grubość palca i wykrawa większym wykrawaczem okrągłe nie nadziewane placuszki. Godzinę mają stać w cieple, poczem się je smaży jak pączki na mięszanym tłuszczu. Po usmażeniu nakrawa się je z boku (wewnątrz będą puste) i napełnia konfiturami.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Przyrząd do wyciskania cytryn

Wiele kłopotu przyczynia nieraz gospodyni umiejętne wyciśnięcie cytryny, lub też pomarańczy, tak, aby nie pozostało w niej ani trochę soku. Obok zreprodukowany przyrząd do wyciskania „Fripu" obmyślony został przez berlińskie biuro porad dla gospodyń „Heibaudi" i posiada tę dogodność, że pozwala zużytkować w stu procentach daną cytrynę oraz zaoszczędza gospodyni brudzenia sobie palców.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 53 — **Grudzień** — Dni 31
Niedziela **27** Jana Ewang.	Zupa z groszku zielonego /z puszki/. Paszteciki mięsne w omletach. Zrazy à la Nelson z jarzynkami. Kompot. Pączki serowe. Kolacja: Polędwica wieprzowa z sałatką z czerwonej kapusty.
Poniedziałek **28** Młodzian. męcz.	Zupa na podróbkach. Civet z zajęczego przodka z kluseczkami. Pularda pieczona z kompotem. Szarlotka z resztek strucli z jabłkami. Kolacja: Wątróbka z ryżem.
Wtorek **29** Tomasza b.	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Grzanki z bułki z marchewką. Pieczeń barania na dziko z makaronem. Suszone śliwki w cieście. Kolacja: Pasztet z dziczyzny.
Środa **30** Dawida kr.	Kapuśniaczek z kiełbasą. Salsefia z masłem i bułeczką. Zraziki cielęce w pomidorowym sosie z ryżem lub kaszką. Strudel ziemniaczany. Kolacja: Kotlety z włoskiej kapusty w cieście.
Czwartek **31** Sylwestra pap.	Grzybówka z płatkami. Pierożki z kaszką krakowską i serem. Omlet z grzybkami lub maszynowy rozbratel z ziemniaczkami. Kompot mieszany. Sylwestrówka: Różne kanapki do wódek. Galantyna z kuropatw z tatarskim sosem. Rulada z głowy wieprzowej z mieszaną sałatą majonezową. Budyń à l'arlequin płonący lub pączki. Nad ranem barszcz na rosole.
	Tydzień 1 — **Styczeń** — 31 dni
PIĄTEK **1** Nowy Rok 1937	Rosół z drobiu z grzybkiem. Ryjek wieprzowy z chrzanem. Indyk z kasztanami. Kompot. Tort migdałowy w kolorach. Kolacja: Zimny indyk z brusznicami.
SOBOTA **2** Makarego op.	Zupa owsianka. Brukselka z masłem. Potrawka cielęca z ryżem. Purée z marchewki. Legomina grysikowa. Kolacja: Śledzie marynowane lub wędzone.

Perfumy ★ wczoraj ★ a ★ dziś.

Olbrzymi postęp nauk technicznych, jaki po wojnie obserwujemy we wszelkich dziedzinach życia, zaznaczył się również bardzo wyraźnie w przemyśle perfumeryjnym. Piękna pani, dobierając dziś perfumy do różnych okoliczności życia towarzyskiego i codziennych swych potrzeb, jest przeważnie przekonana, że perfumy o zapachu kwiatowym to perfumy dnia wczorajszego, a te dzisiejsze, w których znajduje prawdziwe upodobanie, to nowoczesny cocktail syntetycznych środków z chemicznej kuchni perfumeryjnej.

Te perfumy kwiatowe modne były przed wojną. Im bardziej zbliżoną była do natury konsystencja zapachu, tem więcej znajdywały zwolenników a przedewszystkiem zwolenniczek. Były modne, poszukiwane, upajające, a pozostały tylko po nich wspomnienia i dziś nikt nie zapyta o „Vera Violetta" Roger et Gallet lub „Oeillet Fané" Grenoville. Zapachy kwiatów rozwiały się i hołdujemy dziś nowoczesnym perfumom, których rafinowane wonie nie przypominają już podstawowych składników, z jakich powstały, a jakimi są do dziś eteryczne olejki kwiatowe.

Pionierem dzisiejszych perfum syntetycznych jest Coty, który pierwszy zastosował przy fabrykacji perfum wysoki procent środków chemicznych. Tak powstał zapach „Rose Jacqueminot". Idąc nową drogą fabrykacji wyprodukował Houbigant swój „Oeillet du Roy", a Piver „Trèfle Incarnat", które to perfumy otwarły nowe możliwości uzyskiwania całkiem odrębnych zapachów, zawsze jednak w połączeniu z olejkami kwiatowemi, które pozostały zasadniczemi składnikami perfum. Obok nich czerpie się środki pomocnicze z ekstraktów wonnego drzewa jak cedr lub ze świata zwierzęcego jak ambra. Ambra to najstarsza perfuma świata a do dziś niezastąpiona w nowczesnem ujęciu techniki perfumeryjnej. Znajdujemy ją i w najnowszej perfumie Chanela „Cuir de Russie", która jest niesłychanie skomplikowaną mieszaniną składników naturalnych i chemicznych. W skład jej wchodzą olejki kwiatowe, przedewszystkiem różany, jaśminowy, irysowy,





Kobieta i puszek...

muszkatułowy oraz ambra.

Spojrzawszy nieco w dziedzinę alchemji naszych perfum, będziemy łatwiej orjentować się w ich dobieraniu do własnego gustu przedewszystkiem, a następnie do tylu innych czynników, które w rachubę wchodzić tu muszą, jak pora roku, gatunek materjału danego ubioru, intensywność karnacji ciała, kolor włosów, oczu oraz intenzywność rumieńców, warg itd.

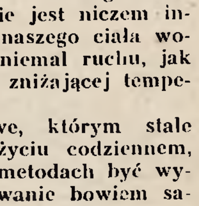
Niema kobiety, która nie lubiałaby perfum. Obłok zapachu, który stwarza wokół nas dobra perfuma, to właśnie ta atmosfera, w jakiej czujemy się najlepiej, otulone jej upojną wonią. W zimie, gdy cała nasza natura skłania się ku źródłom wszelakiego ciepła, szukamy perfum intensywniejszych, trwalszych, mocniejszych, takich, które dłużej stwarzać będą wokół nas atmosferę promieniującą miłem, łagodnem ciepłem. Nie wszystkie zwolenniczki perfum znają tajemnicę powstawania tego zjawiska, więc uchylamy i ten rąbek tajemnicy. Weźmy perfumy takie, jak „Or" Coty'ego, „Crêpe de Chine" Millota lub „Zibeline" Weila. Zamiast rozpylać je na suknie, dajmy ich kilka kropel na ramiona, gdy wkładamy wełnianą sukienkę. Wtedy dopiero uzyskamy cały „charme" tych zapachów, gdy promieniować one zaczną ze skóry, rozgrzanej pod okryciem wełny. Perfumy rozszczepią się na cząsteczki składowe, z których każda wyzwoli w ogólnym zapachu swoją indywidualność, dodając ekspresji ogólnemu wrażeniu syntetycznej woni.

Jeszcze dalej pójść można w wyrafinowanem używaniu perfum, używając mydła o tej samej woni, jakoteż pudru i wody tualetowej. Jakże orzeźwiająco działa np. ciepła kąpiel, do której dodamy kroplę ulubionej perfumy, lub też rozpylenie, na wytarte po zimnej kąpieli ciało, wody tualetowej w tym samym guście! Używając tak dobranych składników, mamy stale to przemiłe uczucie wonnego obłoku wokół siebie, który nie jest niczem innem, jak unoszącą się z naszego ciała wonią, zależnie od każdego niemal ruchu, jak i od wzmagającej się lub zniżającej temperatury ciała.

Względy oszczędnościowe, którym stale przyznajemy prymat w życiu codziennem, nie powinny przy takich metodach być wystawione na szwank. Używanie bowiem samej perfumy jest znacznie mniej ekonomiczne, niżeli kombinowanie kilku składników tualetowych o tych samych zapachach, zwłaszcza, jeżeli zapoznamy się z ich rafinowanem, ale skutecznem używaniem. — A piękna pani lubi nietylko, aby dla niej samej zapach był stałą atmosferą, lecz także, by pozostawiał smugę woni po jej przejściu i udzielał się z każdego przedmiotu, którego dotkną jej drobne dłonie. Tej sztuki nie dokaże przy oszczędnem używaniu drogiej zazwyczaj perfumy bez żadnych innych dodatków. Doświadczenie zaś wielu kobiet uczy, że ekonomiczniej przedstawia się używanie perfum w różnej konsystencji.

Co prawda nie wszystkie perfumy mają swe odpowiedniki, ale przy zwiększonem zapotrzebowaniu zorjentują się rychło fabryki w nowem nastawieniu i produkować będą serje, podobnie, jak to już czyni Molyneux (Numéro Cinq), Patou (Amour, Amour) lub wspomniany Millot (Crêpe de Chine).

Elegentki francuskie XVII i XVIII w. używały wonności litrami. Dzisiejsza wysportowana i dbała o higjenę kobieta, potrafi z większym skutkiem dozować swe perfumy... rozpylaczem! (H-a).



PANI MODA — W WYMIARZE 1/3

Piękny salon jest bardzo miłą rzeczą — również i ładna jadalnia. Posiadanie wytwornej sypialni należy do wielkich przyjemności. Ale czy macie państwo. . strych?



Co do mnie — najwięcej lubię strych. Ta składnica naszych wspomnień, najbardziej wzruszających, a bardzo często naszych tajemnic, zasługuje na pierwszorzędne miejsce w hierarchji domowej. Być może właśnie dlatego strych znajduje się najczęściej ponad wszystkiemi ubikacjami domu. I zdaje mi się, że winno się osądzić ludzi nie po ich zewnętrznym wyglądzie, lecz zależnie od tego, jak wygląda ich strych...

Nie każdy bowiem posiada strych. Tak samo jak narody młode nie posiadają historji, nuworysze nie posiadają strychu. Można kupić w składzie mebli jadalnię i stylowy salon, niechże jednak ktoś spróbuje sprokurować sobie w podobny sposób strych pełen wspomnień...

Strych nie tworzy części domu, jest częścią rodziny. Czegokolwiek potrzebujecie z rzeczy, których nie używacie codziennie, możecie znaleźć je tam właśnie. I w ten sposób też odkryłem na strychu w zwykłem tekturowem pudełku zdumiewający kapelusik z wysoką główką, barwy szarej, o szerokiem rondzie, lekko zagiętem ku górze. Wewnątrz kapelusika zauważyłem zamazany napis firmy, z którego udało mi się odcyfrować tylko datę: „1832".

Zacząłem przeglądać rupiecie na strychu i odkryłem wśród nich dużo rycin i fotografij, które łączył wspólny temat, a mianowicie dziecko i jego strój. Tak, w takim to kapelusiku chodziły dzieci przeszło 100 lat temu. Taki kapelusz miał kilkoletni chłopiec z niebieskim krawatem, przypominającym krawaty Musseta..

Na lewo: Mały dandys, według rysunku w piśmie „La Mode" r. 1831.



Elegantka paryska i jej córeczka, ubrane według mody z 1831 r.

To odkrycie na strychu skłoniło mnie do pewnych rozważań. Zdarzali się we wszystkich epokach ludzie, którzy ubierali swe dzieci w swoje stare surduty i spodnie. Pewien nauczyciel w szkole zadał raz jednemu uczniowi pytanie, w co byli ubrani Adam i Ewa. Usłyszał odpowiedź, że byli oni ubrani w stare liście po swych rodzicach!

Również jednak we wszystkich epokach zdarzają się rodzice, którzy zajmują się ubiorem swych dzieci, starając się sprawiać im ubranka nietylko dla ich użyteczności, wygody i higjeny, ale także estetyki. Specjalna jednak moda dla dzieci rozpoczęła swą historję właściwie dopiero od jakichś 100 lat.



Mody dziecięce w r. 1864, według ilustracji z „La Mode Illustrée".



Zimowa moda dla dzieci, z żurnalu „La Gazette du bon ton" sprzed laty szesnastu.

Wtedy to w wielu domach dzieci stały się rozkosznemi, żywemi zabawkami, na które patrzano z prawdziwą przyjemnością. Im ładniejsza była ta zabaweczka, tem piękniej strojono ją i pieszczono. Stąd też w połowie ubiegłego stulecia moda dziecięca doznała pewnego wynaturzenia.

Sztuczność w ubiorach — jak ukazują mi to owe stare ryciny znalezione na strychu — doszła do niezwykłej przesady, przyczem starano się ubierać dzieci tak, jak dorosłe osoby, przez co wyglądały jak małe karykaturki. Ileż komplikacyj wprowadziła ta moda, jak bardzo wykraczała przeciwko higjenie, oraz w jak otwartej walce znajdowała się z estetyką. Piękno dziecka, jego wdzięk naturalny, poezja i harmonja drobnego ciała zanikała zupełnie w napuszonej i sztucznej modzie, podobnie jak piękno ciała i ruchu kobiety równocześnie zanikło w cieniach piętrowych kapeluszy, zabójczych sznurówkach i potwornych tiurniurach, upodabniających nasze babki do jakichś przedpotopowych stworów.

Ale przeglądajmy dalej stare wycinki na naszym strychu. Im więcej zbliżamy się do naszej epoki zauważymy, że moda dziecinna przechodzi coraz gwałtowniejsze zmiany na korzyść prostoty i tego piękna, które dać może jedynie skromność i higjeniczne ubiory, nie krępujące ruchów ciała.

Pierwszy taki gwałtowniejszy zwrot ku pewnej prostocie w ubiorach dziecięcych daje się zauważyć po r. 1870. Wtedy dopiero skończył się okres męki dla dzieci, chociaż jednak daleko jeszcze wtedy ubiorom dziecięcym było do tej prostoty i wygody jaką mają dzisiaj. Jeszcze dręczyła te malutkie ciałka fala koronek i wpijały się w nie obcisłe suknie, a na główkach wznosiły się olbrzymie kapelusze. Aż do wielkiej wojny dużo jeszcze było w ubiorach dziecięcych tego, na co patrząc dziś doznajemy wrażenia komizmu, przesady i co, z punktu dzisiejszych poglądów na higjenę i estetykę, musimy potępić.

Porównajmy kilkuletnią dziewczynkę z r. 1936 do jej rówieśniczki z r. 1836. Ta dziewczynka z XIX wieku ubrana jest w długą, do kostek sięgającą suknię z ciężkiego materjału, z bufiastemi rękawami, na którą narzucony jest rodzaj fartuszka, również z ciężkiego materjału; gufrowany kołnierzyk okrywa całą szyjkę aż po brodę, a na głowie piętrzy się kapelusz z olbrzymią kokardą. Buciki na wysokich obcasach, ostro ścięte na palcach, kryją nogę prawie do połowy łydki, a rolę pończoch spełniają jakieś fantastyczne nogawki, spływające w dół aż po kostki i przewiązane na trzewikach wstążkami. Biedne dziecko jeszcze dobrze nie wyrosło, a już było skrępowane tem wszystkiem, co później jako moda, zwyczaj, tradycja utrudniało jej całe życie, zabijało młodość i postarzało przedwcześnie. i

A oto jej rówieśniczka z XX wieku! Spójrzmy jak ubrana jest dziewczynka z r. 1936 z jej rówieśniczką z r. 1836. Ta dziew-

cięce z naszych czasów w porównaniu do tamtych z przed wieku. Malutka czapeczka lub berecik, sukienka o prostych linjach, lekka, swobodna, ledwo sięgająca kolan, skarpetki i leciutkie płytkie półbuciki.

Moda jest wyrazem epoki. Z biegiem lat zmienia się wszystko, zmieniają się zapatrywania, ideały i gusty, zmienia się też moda w najszybszem tempie, jeśli chodzi o piękne panie, w nieco powolniejszem, jeśli chodzi o dzieci, a stosunkowo najpowolniej, jeśli chodzi o modę męską.

Iluż wzruszeń dostarczyć może strych, ile nasunąć refleksyj na temat owego „panta rei", które obserwujemy z dnia na dzień we wszystkich dziedzinach życia! I dlatego to, co w starych skrzyniach, walizach i pudłach, zakurzone i zapomniane, nieotwierane przez lata całe spoczywa na strychu, jest tak bardzo dla nas cenne, dlatego też w wolnej jakiejś chwili i w odpowiednim nastroju dobieramy się z prawdziwem wzruszeniem do tych pamiątek rodzinnych i przeglądamy te ryciny i fotografje, przedstawiające naszych pradziadów i prababki i ich rówieśników w epokach, znanych nam tylko z pożółkłych powieści.

Moda ewoluuje ustawicznie. Niewątpliwie lata, które nadejdą zmienią jeszcze dużo w obecnych ubiorach dziecięcych, niemniej jednak patrząc na to, co się w tej dziedzinie działo jeszcze przed laty kilkudziesięciu, możemy przyznać, że dzisiejsza moda dziecięca jest idealna!

Dlatego też tak bardzo lubimy przypatrywać się dzieciom i tak chętnie uczęszczamy na groteskowe przedstawienia, na zabawy kostjumowe, na których możemy obserwować dawne stroje, ubiory, które były duszą odbiegłej epoki, a które na szczęście niepowrotnie minęły.

Są ludzie, którzy przy każdej sposobności lubią wspominać „dawne, dobre czasy" i rozprawiać na temat, że „dawniej lepiej bywało". Chociaż powiedzenia te mogą się odnosić do bardzo wielu dziedzin, w każdym razie nikt nie mógłby odnieść ich do dziedziny mody...

W. Z.





Współczesne ubranka dziecięce z pisma „L'Enfant".

Na lewo: Jak niegustownie ubierano dzieci w początkach XX w.



Oto jak ubierają się współczesne dzieci, przebywające na plaży, według ilustracji Hemjic'a w „Perfection" 1934 r.

To warto poznać..

NA SCENIE.

W okresie świątecznym wchodzą na afisz wę wszystkich teatrach sztuki, które zawsze są jednem z najwybitniejszych artystycznie lub... finansowo osiągnięć danej sceny. Zasługują więc na obejrzenie i dlatego śmiało polecić możemy wszystkie przedstawienia świąteczne



MARY GABRIELLI

zdobyła w Poznaniu duże powodzenie i uznanie doskonałem wykonaniem podwójnej roli księżniczki hawajskiej i tancerki Suzanne w operetce Abrahama „Kwiat Hawaju", granej w Teatrze Wielkim.

we wszystkich teatrach na przestrzeni całej Rzeczplitej.

Ze sztuk, które na tem miejscu kilkakrotnie wspominaliśmy, warto jeszcze raz zalecić **„Ludzi na krze"**, którzy stali się największym utworem, granym niemal przez wszystkie sceny polskie. W Łodzi osiągnęli „Ludzie na krze" już zgórą 35 przedstawień. Ostatnio wystawił tę sztukę **Teatr Miejski w Grodnie**, zapraszając na reżysera Jana Boneckiego, doskonałego odtwórcę roli starego profesora.

W Poznaniu warto w **Teatrze Polskim** oglądnąć komedję muzyczną **„Podwójna buchalterja"**, w której świetnie główną rolę Zuzanny gra urocza Ada Zasadzianka, a partnerami jej są Zawistowski, Zbikowska, Oranowska, Jabłonowska, Baryka, Szupelak-Gliński i inni. W **Teatrze Nowym** graną jest nowa komedja polskiego autora W. Jastrzębca-Zalewskiego, p. t.: **„Serca za drutem kolczastym"**. Autor kilkakrotnie przerabiał miłą i dowcipną farsę myśląc przedewszystkiem o napisaniu dobrej roli dla świetnej artystki Jadwigi Zaklickiej. Rzeczywiście artystka odnosi w tej roli duże sukcesy, mając świetnych partnerów w Mieczysławie Dowmuncie, aktorze o dużej vis comica i Januszu Jaronie, doskonałym amancie. Inne role grają Korecka, Przystański i Smoczyński.

W **Warszawie** chcąc się zabawić, należy pójść do **Teatru Ateneum**, gdzie graną jest doskonała komedja Birabeau **„Woźny i minister"**. Młody i sprawiedliwy krytyk Andrzej Mikulowski tak m. in. pisze o przedstawieniu: „Komedja Birabeau jest świetnie grana przez Jaracza, który swym realizmem i niezwykłą wprost ekspresją i trafnością gestu nadaje życie całemu przedstawieniu, a także świetnie zmontowana przez Perzanowską, która, jedna z niewielu reżyserów, rozumie takie rzeczy, jak kompozycja czy konstrukcja sztuki i dba o stosowanie się do niej a nie o wygrywanie poszczególnych „efektów teatralnych", jak to czynią inni, wlokący potem sztukę od brawa do brawa".

W Warszawie warto jeszcze zajść do **„Cyrulika"** choćby dla ujrzenia Junoszy Stępowskiego, śpiewającego kuplety muzyczne w komedji muzycznej **„Król z parasolem"**, którego partnerami są Lena Żelichowska, siostry Burskie, Loda Niemirzanka, Grossówna, Szczepański, Igo Sym, Rentgen i Eug. Koszutski.

(h)

Z Salonu 1936 "ZACHĘTY"

W tych dniach otwarto doroczny salon w Towarzystwie „Zachęty" obfitujący w dzieła portrecistów, jak Bolesława Czedekowskiego, Antoniego Graba



rza, M. Meringa, W. Dobrowolskiego, J. Umińskiego.

Reprodukujemy portret szefa lotnictwa gen. Zająca, malowany przez znanego śląskiego artystę-malarza. Czesława Kuryattę, który otrzymał na tegorocznym salonie „Zachęty" medal srebrny za reprodukowany portret.



JADWIGA ZAKLICKA,

jedna z najświetniejszych artystek młodego pokolenia aktorskiego, doskonała interpretatorka ról lirycznych, zarówno o podkładzie dramatycznym jak i komedjowym, gra obecnie główne role w sztukach „Ludzie na krze" i „Serca za drutem kolczastym" w Teatrze Nowym w Poznaniu.

NA NAJLEPSZEJ FALI

NIEDZIELA, dn. 27 XII.

99.00 Transmisja nabożeństwa.
10.30 Kolędy kaszubskie i kujawskie.
12.03 Koncert rozrywkowy.
11.15 „Jak Stach Zawalidroga uczył się roli Heroda" — monolog dla dzieci.
11.30 Koncert rozrywkowy (płyty).
15.30 Audycja dla wsi.
16.30 Fragment słuchowiskowy z dramatu „Sita" Kasprowicza.
17.00 Koncert symfoniczny.
19.00 „Debiutanci i laureaci" — szkic literacki.
21.00 „Tradycje rycerskie w wielkopolskiej pieśni i melodji" — audycja muzyczna.
21.15 „Na wesołej lwowskiej fali".
22.15 Muzyka taneczna.

PONIEDZIAŁEK, dn. 28. XII.

15.15 Gitta Alpar i orkiestra Edith Lorend (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.15 „Gwara w literaturze polskiej" odczyt.
16.30 Koncert Zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
17.00 „W laboratorjum prof. Weigla". reportaż.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Historja zegara" — pogadanka
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 „Mozaika muzyczna".
20.25 Pieśni w wykonaniu Elżbiety Schumann (płyty).
21.00 „Idąc za kolędą" — wieczór literacki.
21.30 Koncert Małej Orkiestry P. R.
28.00 Koncert symfoniczny.
23.00 Muzyka taneczna (płyty).

WTOREK, dn. 29. XII.

15.15 Koncert muzyki lekkiej.
16.30 Mała Orkiestra P. R. i „Czwórka Radjowa".
17.10 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona.
17.25 V audycja z cyklu „Sonaty skrzypcowe Beethovena".
17.50 „Zdrowia, szczęścia, pomyślności" — monolog.
19.00 „Dyskutujmy".
19.20 „Z muzyki angielskiej" — koncert.
20.15 Opera.
22.25 „Współczesny humanizm w literaturze" — szkic literacki.
22.40 Muzyka taneczna.

ŚRODA — dn. 30 XII.

15.15 Utwory i transkrypcje jazzowo-symfoniczne (płyty).
16.25 Koncert Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
17.00 „Nasze odznaczenia bojowe" — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Brytyjska idylla świąteczna", feljeton.
19.20 Koncert w wykonaniu Orkiestry T. Seredyńskiego.
20.00 Koncert rozrywkowy (płyty).
21.00 Koncert chopinowski — gra Kurt Engel.
21.30 Koncert kameralny (z Wilna).
22.00 Muzyka taneczna.

CZWARTEK — dn. 21 XII.

15.15 Koncert w wyk. Zespołu Pawła Rynasa.
16.20 „Nad albumem znaczków pocztowych" — aud. dla dzieci.
16.35 Polska muzyka baletowa (płyty).
17.15 Muzyka dwufortepianowa.
19.00 „Wieszczka karnawału" — operetka.
20.30 „Teatr w walizce" — pogadanka.
21.00 Koncert sylwestrowy.
22.00 „Wesoła sylwestrowa Syrena": „Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło" — Audycja M. Hemara.
23.30 „Sylwester na Kasprowym Wierchu".
0.20 „Płyta za płytą" — muzyka taneczna.

PIĄTEK — dn. 1 I. 1937.

9.00 Transmisja nabożeństwa"
12.03 Koncert rozrywkowy i „Monolog nowoczesny".
14.30 Audycja dla dzieci.
15.00 „Świętych Pańskich Kalendarz" gawęda.
15.15 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
16.30 „Poczta świąteczna" — premjera słuchowiska".
17.00 Muzyka taneczna.
17.30 Koncert orkiestry mandolinistów.
18.10 Fragmenty zespołowe znanych oper (płyty).
19.00 Dwie serenady w wyk. Orkiestry smyczkowej P. T. M.
19.35 Koncert solistów.
21.05 „Wspomnienia z dawnych lat" — audycje muzyczne.
22.05 „Skórka banana" humoreska.
22.35 Muzyka taneczna.

SOBOTA — dn. 2 I.

12.03 Kwartet salonowy Rozgłośni Krakowskiej.
14.30 „Baśń o Kopciuszku" — dla dzieci.
15.15 Koncert rozrywkowy.
16.15 Koncert orkiestry wileńskiej.
17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie.
19.00 Audycja dla Polaków za granicą „Na Nowy Rok".
19.30 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symfonicznej.
21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
22.00 „Wielka wygrana" — wesołe słuchowisko.
22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.



OKREŚLENIE EPOKI



— Ja również mam w domu kilka wspaniałych starych obrazów!
— Z jakiego czasu?
— Z czasu, gdy jeszcze miałem dużo pieniędzy... **Rys. Charlie.**

Rozwiązania z N-ru 51-go.

FIGURY Z ZAPAŁEK.



Rysunek wskazuje jedno z wielu możliwych rozwiązań.

KAWALERZY W RULONJI.

Ponieważ liczba młodych małżonków musiała się równać liczbie młodych mężatek; 4,2% nieżonatych mężczyzn odpowiadało 1 stycznia ilości 2,8% niezamężnych kobiet. A więc na każdych 28 mężczyzn wypadnąły 42 kobiety, to znaczy, że na każde 28+42=70 osób, mężczyźni stanowili $^{28}/_{70}$, czyli 70% niezamężnej ludności Rulonji.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SPACER PANA KANARKA.

Pan Kanarek zawsze chodzi pieszo ze swego domku na wsi do pobliskiego miasteczka, przyczem idzie w jedną stronę z prędkością 5 km na godzinę, wraca zaś z prędkością tylko 3 km na godzinę, gdyż jest już zmęczony. Spacer w obie strony zabiera mu 7 godzin — czy można więc na podstawie powyższych danych obliczyć odległość z domu pana Kanarka do miasteczka?

ZARAZ. ZARAZ. ZARAZ...



Ile razy można w powyższym rysunku odczytać słowo „ZARAZ"? Wyraz ten wolno czytać z góry, na dół i odwrotnie, naprzód i w tył, w każdy możliwy sposób wzdłuż wskazanych połączeń. Jednak litery należy czytać kolejno i żadnej nie można przy odczytywaniu przeskakiwać.

NASZYJNIKI.

Ile różnych naszyjników można wykonać z ośmiu paciorków, jeśli się będzie poddawać zmianie tylko stosunek białych do czarnych koralików, pod każdym innym względem uważając je za jednakowe? Możemy więc mieć osiem białych, albo osiem czarnych, albo siedm białych i jeden czarny, albo sześć białych i dwa czarne, tak



jak to przedstawia rysunek, itd. Oczywiście jeśli wymienimy koralik 3 z 4 lub z 5, lub z 6, będziemy mieli za każdym razem różne naszyjniki. Ale jeśli zamienimy 3 z 7, naszyjnik będzie taki sam, jak przy zamianie 3 z 5, dlatego, że ulegnie tylko odwróceniu. Należy unikać uważania takich wypadków za różne od siebie.

HUMOR ZAGRANICZNY

PRZED PRZYBICIEM DO ZIEMI AMERYKAŃSKIEJ



Pierwszy podróżny: — Statua Wolności wita nas z daleka!
Drugi podróżny: Ale nie mnie! Moja żona czeka w porcie!... **„Ric et Rac"**

Z BAJEK NOWOCZESNEGO ANDERSENA



„Dziewczynka z zapałniczkami"... **Rys. Charlie.**

Czy zgadniecie?

I. Wiek dwóch braci wynosi razem 11 lat. Pierwszy z nich jest o 10 lat starszy od drugiego. Ile ma każdy z nich?

II. Z centralnego dworca kolejowego rozchodzą się promienisto tory. Każdy z torów posiada pięć stacyj, a stacje te połączone są znów linją okólną, która ma osiem stacyj. Ile stacyj posiada cała sieć kolejowa?

III. Zwykło się mówić, że przyczyna idzie przed skutkiem. Ale nie zawsze tak jest: wymieńmy wypadki, kiedy przyczyna idzie po skutku!



U góry: Hans Memling „Hołd Trzech Króli".

Poniżej: Hans Memling. Portret Marji Moreel.

HANS MEMLING



Jakiś dziwny nastrój ogarnia nas, gdy wpatrujemy się w proste, naiwne, pozbawione, zdawałoby się, głębi w dzisiejszem pojęciu, obrazy „prerafaelitów". Na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że obrazy takie mogły powstać tylko w epoce nadwyraz spokojnej, nie posiadającej żadnych głębszych zagadnień i wewnętrznych konfliktów. A jakżeż było inaczej jednak! Czasy średniowiecza, kończące się z odkryciem Ameryki w r. 1492, co również wprowadziło do dziejów ludzkości nowe momenty walki, były pełne wojen, zatargów religijnych, szalała wtedy nieraz cholera i dżuma, pustosząc miasta i wsie. Więc jak wytłumaczyć tę dziwną prostotę i spokój ówczesnych obrazów? Nie będziemy przeprowadzać analizy tego skomplikowanego zagadnienia, stwierdzimy tylko, że w wysokiej mierze pochodzą one z głębokiej wiary, która panowała powszechnie.

Wśród licznych malarzy ówczesnych jednym bezwątpienia z najwybitniejszych artystów jest Hans Memling, z pochodzenia Niemiec. Zwyczajem ówczesnych malarzy wędruje on, nieomal jak wędrowni kuglarze, od miasta do miasta, aż wkońcu wkracza w obronne mury bogatego i pięknego miasta Bruges, jednego z największych miast Burgundji. Ówczesny dwór dzielnych książąt burgundzkich należy wtedy do najbogatszych w Europie, rycerze tamtejsi do najbitniejszych, a kupcy do najkulturalniejszych i najbardziej oświeconych. Nic dziwnego, że w tem środowisku Memling znajduje dużo pola do popisu. Maluje nietylko portrety możnych tego świata, jak burmistrza Marcina Van Nieuwenhoven, ale również liczne obrazy religijne, z których znane są takie arcydzieła, jak „Hołd trzech królów", (którego środkową część reprodukujemy obok), lub też cykl obrazów, opowiadających o życiu św. Urszuli, jak również wiele innych. Wśród portretów wybitne miejsce zajmuje obok zamieszczony portret Marji Moreel, w którym znajdujemy wszystkie tak typowe dla ówczesnych malarzy, a również dla Memlinga, cechy. **J. G. M.**